Nienawiść wyznaniowa za Zygmunta III.

Szkic obyczajowy i literacki.

I.

Dzieje protestantyzmu w Polsce niesłychanie ciekawe i pouczające. Nie dlatego, że na pozór w jednej chwili zmieniła się dekoracya, że polska szlachta katolicka obudziła się pewnego poranku protestancką; nie dlatego, że na gruncie polskim wybujał kwiat tak dziwny aryaństwa, ciągnący soki i z usposobień własnych, prasłowiańskich, i z dociekań obcych; nie dla nadzwyczajnego, niezaprzeczonego nigdy ożywienia umysłowości i literatury (szczególnie narodowej); nie dla rozgłosu i sławy wreszcie, jakich tolerancya polska na świecie, rozdartym na wrogów i ofiary prześladowań religijnych, odrazu i słusznie zyskała: dzieje protestantyzmu w Polsce ciekawe jeszcze czemś innem.

Oto wszędzie indziej wdało się w rzecz sumień i przekonań państwo i monarcha rozstrzygał, w Anglii czy w Hiszpanii, w Prusiech czy w Austryi, jakiego kraj odtąd będzie wyznania. Tylko w Polsce nie było takiego z góry zakładanego hamulca; tylko w Polsce miał protestantyzm przed sobą wolną drogę; miał pokazać, co umiał: ani tu katolicyzmu nie tępiono, jak w Anglii np., ani protestantyzmu, jak w Rakusiech. Swobody działania w XVI. wieku protestantyzmowi nie uszczuplano — mimo to upadł on już w XVI. wieku, z końcem stulecia przegrał sprawę ostatecznie. Na ziemi polskiej nowa ewangelia próby ogniowej nie przetrwała. Dlaczego?

O częściową choćby odpowiedź pokusza się dzieło świeżo wydane.

Młody historyk, warszawianin, Dr. Wacław Sobieski, wydał świeżo książkę pod tytułem: Nienawiść wyznaniowa tłumów za rządów Zygmunta III. (Warszawa, nakładem Stefana Dembego, 1902 r., str. 199), poświęconą Tadeuszowi Korzonowi. Niezwykłe to nieco zjawisko w naszej literaturze historycznej: książka wydana wykwintnie, że i najwięcej czytane powieści czy nowele najzawołańszych autorów podobną szatą się nie szczycą, a szacie odpowiada i przedstawienie rzeczy, jakby jakiego essayisty angielskiego, unikające zbytniego wyładowywania szczegółów, szafujące dyskretnie źródłami i cytacyami, jasne, zwięzłe, popularne w najlepszem znaczeniu słowa, czyta się z zajęciem, niesłabnącem od początku do końca.

Lecz nie tylko szata ozdobna, wykwintne przedstawienie, i treść sama nie zwykła. Żaden „bohater", w koronie czy przy buławie lub lasce; żadne stronnictwo, rokoszanów czy regalistów, jezuitów czy dysydentów czy „polityków", nie wysunięte na czoło: bohaterem tu po raz pierwszy „tłum" t. j. motłoch i gawiedź miejska, kierujące się instynktami, ślepe w nienawiści masowej i rasowej zarazem. Zagadnienie samo bardzo ciekawe: jakim sposobem ta Polska, co ćwierć wieku przed edyktem nantejskim zdobyła wolność sumienia, co dwieście pięćdziesiąt lat przed unią ewangelickich wyznań, podyktowaną r. 1817 przez króla pruskiego, ustanowiła upragniony gorąco „konsens" tych wyznań; jak ta Polska, na pozór tak postępowa, zsunęła się napowrót do skrajnej, średniowiecznej nietolerancyi? W rozwoju tym są oczywiście czasy Zygmuntowe, przedłużające się strasznie, przełomowe: społeczeństwo polskie wstępuje w nie ze swobodą wyznań a wychodzi z nich państwem ultrakatolickiem i cechy tej, mimo wolnomyślnych zakusów Władysława a strasznych doświadczeń za Jana Kazimierza, już się więcej, na przyśpieszenie swej zguby, nie pozbywa. Przewrotu tego nie dokonali ani Zygmunt ani jezuici, spowiednicy, kaznodzieje, teologowie; oni go przyspieszyli, nie stworzyli. Od kogoż on wyszedł? Odpowiedź pp. Zakrzewskiego i Sobieskiego nie zupełnie mnie zadowala; nawet przeciwko samemu tytułowi owej pracy uczyniłbym zastrzeżenie; mianowicie zaś przeciw wciąganiu „rasowości" słowiańskiej dla wytłumaczenia tego procesu. Czyż Husyci nie byli „rasowymi" Słowianami — nie przeszkodziło im to bynajmniej, i samych Germanów w ferworze reformacyjnym daleko prześcignąć. Twierdzą u nas: ponie-

waż reformacya ludu polskiego nie sięgła, podwalin narodowych nie ruszyła, dla tego upadła i wywietrzała. I takie twierdzenie mylne: chłop polski był już tak apatyczny, że nie jego to zasługa czy wina, że reformacya upadła, upaść musiała; inercya chłopska reformacyi nie powstrzymała; czyż rzucali się gdziekolwiek w Polsce chłopi na „ministrów" albo na protestanckie nabożeństwo? Umykali pokryjomu do pobliskiego katolickiego kościoła, nic więcej; prócz tego biernego odporu nie porywali się do żadnego czynnego. Gdyby szlachta nasza protestancką pozostała była i nadal, i chłop polski byłby się do nowej wiary z czasem nałożył i nie byłby podnosił, jak chłop szwedzki np. toporów i siekier za wiarę katolicką: wiemy przecież dobrze o mazurach protestanckich po dziś dzień. Była nienawiść wyznaniowa, u tłumów — **miejskich**, nie wiejskich; **mieszczanie**, nie chłopi, rzucali się na ministrów i szlachtę — i oto jedyne zwycięstwo, jakie mieszczaństwo polskie w karty smutnych swych dziejów wpisać może.

Reformacya rozbiła się więc w Polsce nie o opór ludu wiejskiego, lecz o opór szlachty mazowieckiej i miast królewskich; o opór królów, nie przechodzących na nową wiarę; o opór duchowieństwa, potężniejący — po krótkim popłochu — z każdym rokiem; o niestałość samych protestantów polskich, skaczących od wiarki do wiarki; o niezgodę, szarpiącą łona ich zborów: „Konfesya" sandomierska nadto rychło w „konfuzyę" się odmieniła. Mimo to dziejom reformacyi i reakcyi katolickiej zawdzięczamy najciekawsze karty dziejów polskich i wdzięczniśmy p. Sobieskiemu, że podjął pracę, jakby ciąg dalszy prac (rossyjskich) Żukowicza.

Praca p. Sobieskiego traktuje w gruncie tylko dwa objawy: tumulty miejskie, burzenia brogów, zborów, kadłubków, w Krakowie, Poznaniu, Lublinie i Wilnie, przez „panów studentów" (akademików, wywierających presyę na miasto — „powiedzieć by to panom studentom" bywał środek bardzo radykalny, radził go nieraz używać np. stary Nekanda Trepka przeciw różnym figurom krakowskim), uczniów jezuickich, rzemieślniczków. To jeden objaw, powtarzający się tak długo, póki celu nie osiągnięto, póki na gruzach Brogu nie stanął klasztor Bernardynów; na gruzach zboru na Łysej górze (pod Poznaniem) klasztor Karmelitów bosych; zboru lubelskiego takiż klasztor i t. d. Drugi objaw, to reakcya konieczna zaniepokojonej, oburzonej szlachty innowierczej; ci, co to niedawno bezkarnie sami napadali, przeszkadzali nabo-

żeństwu katolickiemu, „reformowali“ swe kościoły, zabierając ich dostatki sobie, królewięta, co sobie króla obierały, musieli się opędzać, jak żydzi, dzieciakom, wytrzymywać obelgi, szturchańce, grady kamieni. Cóż im po konfederacyi i jej wolności sumienia dla szlachty, kiedy rozpaczliwe skargi ministrów, w samem mieście stołecznem, coraz się o ich uszy odbijały? Więc żądają oni „procesu“ na konfederacyę, to jest, doraźnego niemal, zawsze skutecznego sądu na burzycieli spokoju publicznego w rzeczach wiary, i nie ma nic bardziej charakterystycznego dla stosunków polskich nad fakt, że uzyskawszy konfederacyę, nigdy się protestanci „procesu“ nie dobili — że i tu, jak i na każdem innem polu, zadowolono się połowicznym rezultatem; że nie wytężono wszelkiej energii, by dobić się i końca; że przed zwycięstwem odpoczęto na wawrzynach, aby sobie dać później wydrzeć znowu wszystko.

Te dwa momenty, tumulty miejskie i wywołane niemi kr[illegible] po sejmach, jak jeden o drugi ciągle a silnie zahacza, przedstawił p. Sobieski wyraźnie i jasno. Sięgnął do samych źródeł, do dyaryuszów sejmowych, do broszur spółczesnych, które mu ciekawych rysów dostarczały; wykazał pierwszy, co za ważnym czynnikiem w rokoszu był protestantyzm, mimo ultrakatolicyzmu bigota i anarchisty czy „republikanta“ Zebrzydowskiego; jaką rolę odegrali jezuici i że nie darmo za *turbatores pacis* uchodzili; wreszcie powiązał to wszystko z tłem ogólno-europejskiem.

Nie dopowiedział jednego: z literatury spółczesnej uwzględnił tylko tę, która bezpośrednio do konfederacyi (i jej „procesu“) i do tumultów miejskich, mianowicie poznańskich, się odnosi; nie uwzględnił wcale tej, która „nienawiść wyznaniową tłumów“ sama podniecała, ciekawsza, ważniejsza, bo zatruwająca systematycznie powietrze, wsączająca jad w serca i głowy, aż je znieprawiła do szczętu. Chcemy właśnie tę lukę dopełnić, zwrócić uwagę obok owej polityczno-wyznaniowej literatury na obyczajową, której rozkwit również, nie przypadkiem tylko, na czasy Zygmunta III. przypada.

Gdyby naszemi „bibliotekami pisarzy dawnych“, krakowskiemi czy warszawskiemi, nie ślepy traf i przypadek, lecz wybór mądry a systematyczny kierował, mielibyśmy już od dawna zbiór najciekawszych pamfletów wyznaniowych, protestanckich i tyle liczniejszych a drastyczniejszych katolickich. Przecież Rossyanie wydają olbrzymimi tomami naszą i ruską literaturę polemiczną o unii, pisma Skargi, Filaleta i innych, w polskim oryginale i rossyjskim

przekładzie, rzeczy o wiele mniej ciekawe niż owa polemika katolicko-protestancka. Dr. Franko wydał, acz nie zupełną, literaturę wierszowaną polską (i łacińską) o Chmielnickim i latach 1648 i 1649. Prof. Wierzbowski zebrał broszury polskie z r. 1605 i 1606 o krwawych godach moskiewskich, godach Dymitra i Maryny, równie krwawych, równie niespodzianych, jak gody paryskie Henryka i Małgorzaty, rzezią nocną (zamiast moskiewskiej dziennej), bartłomiejską, zakończone. Gdybyż kto pomyślał zebrać i wydać nasze broszury i pamflety, protestanckie i katolickie, stokroć ciekawsze, niż owe elogje i treny Żabczyca i spółki na Marsa i Hymenea moskiewskiego! Z góry się zastrzegamy, że ani myśli my o obszernych dziełach, jakie Rossyanie (Giltebrant i następcy) z walk o unię drukują: nieskończone, tę samą słomę młócące Apologie, Ekzaminy, Wykłady katechizmu, Obrony postyli, Deklaracye, Sumaryusze i t. d. i t. d. Krowickiego, Gilowskiego, Ostrowskiego, Glicnera, Wargockiego, Grodzickiego i całej falangi jezuickiej i protestanckiej, z prochu i popiołów wskrzeszać ani by się nam śniło.

Lecz tem usilniej pragniemy i żądamy, aby się ktoś zmiłował nad drobnymi nieraz świstkami, cztero- i ośmiokartkowymi, ciekawszymi, więcej pouczającymi niż grube tomy, — skarby prawdziwe dla powieściopisarzy, historyków naszej kultury, literatury i języka. Ot gdyby np. prof. Wierzbowski drugi tom swoich Materyałów zamiast kwitami podatkowymi i asygnacyami skarbowemi zapełnił takimi świstkami, których właśnie pełno w bibliotekach warszawskich, przysłużyłby się literaturze i słownictwu albo i przysłownictwu polskiemu nierównie lepiej; materyały jego tak nudne i niepożyteczne, że Niemiec by je zamiast *Materialien*, *„Marterialien“* (męczarnią cierpliwego recenzenta) nazwał, stałyby się lekturą ponętną i pouczającą. Może tym razem głos nasz nie zostanie głosem wołającego na puszczy: w tym celu kreślimy te kartki; zwracamy, zamiast twierdzeń gołosłownych, uwagę na fakty konkretne; wymieniamy z powodzi ówczesnej niektóre ciekawsze, więcej charakterystyczne dziełka; podajemy treść i wypiski, aby czytelnik sam osądził, jakie to dziwne, jowialne, rubaszne, szczeropolskie pomysły kryją się nieraz w owej zapomnianej literaturze; czynimy to zaś w *Przewodniku*, który już dawniej niejedno podobne pisemko, np. Testament luterski Zimorowicza (r. 1890), przedrukował. Za szczegóły nieskromne, wyzwiska drastyczne. odpowiedzialności nie bierzemy: rzecz to dawnych czasów, której fałszować, upiększać się nie godzi; nie uchybimy dzi-

siejszemu spokojowi wyznaniowemu, jeśli wznowimy spory, żarty i śmieszki, popłacające przed trzema wiekami, dziś niemożliwe, w r. 1600 uszu wcale nie rażące.

II.

Zmieniły się czasy doszczętnie. Katolicy niegdyś, ogłuszeni napadem protestantyzmu, onieśmieleni raptownem szerzeniem się pożaru wyznaniowego, masowem wystąpieniem najznakomitszej szlachty polskiej i litewskiej po stronie nowowierczej, cofali się na całej linii. W pierwszem dziesięcioleciu ruchu reformacyjnego bronili się oni wobec nowinek pruskich (królewieckich), jakby wahając się, bez zapału i ufności w skutek; zasłaniali się dawnością wiary, powagą ojców Kościoła; wykazywali, że toć to nie pierwszy szturm przeciw Kościołowi, że kacerstwa były zawsze, że dziś się starodawne powtarzają; że i one niebawem ustaną, jak tamte ustały, arjańskie, manichejskie i inne. Oskarżali dalej kacerstwa o wzniecanie walk wewnętrznych: cóż to się działo w Niemczech, bunty chłopskie, wojna książąt saskich; jak skarał Bóg Węgry, wydając ich Turkom na pastwę. W gruncie bronili się, nie napadali. Jak słabo występują taki Szczodrkowic albo Korczewski w dyalogach i rozmowach swoich a choćby nawet Kromer w „Mnichu", jeźli porównamy napaści Rejowe, Seklucyanowe, Krowickiego i Lutomirskiego wzywania; przewaga literacka była stanowczo po stronie protestanckiej; każdy protest katolicki wywoływał tem sroższe zaczepki protestanckie. Celował wśród wszystkich Krowicki: na „krótką odpowiedź" biskupa krakowskiego Andrzeja (Zebrzydowskiego) występuje w „Obronie nauki prawdziwej itd." z taką zapalczywością r. 1560, że gdy dzieło jego w Wilnie r. 1584 przedrukowywano, już się usprawiedliwiano z gwałtowności mowy jego. Gdy się zaś Orzechowski w liście do Stadnickiego na heretyków, pierwszy w polskim języku rozsrożył, otrzymał odpowiedź, która szorstkością i namiętnością przewyższa wszystko, co kiedykolwiek w Polsce przeciw katolicyzmowi napisano: wystarczy próbka z niedawno (r. 1901, przez prof. Wierzbowskiego, który autora, Krowickiego, nie odkrył) wydanego pisemka:

„Toć jest, miły księże Orzechowski, jako prorocy i apostołowie święci napisali o papieżu, on wieprz dziki, byk tłusty, ono drzewo bez owocu, on wilk, niedźwiedź i smok, pies niemy, zło-

dziej i łotr chytry, grób pobielany, syn dyabelski, mężobójca zdradliwy, prorok fałszywy, którego Bóg brzuch jest a chwała jego w posromoceniu, który ziemskie rzeczy rozumie, nieuka nauczy: nam tego tedy (słuchać) sędziego ślepego, złodzieja i łotra chytrego, który się tak wysoko i wzgórę podniósł, iż też nie chce samego siebie dać sądzić Bogu, ani wszystkiemu stworzeniu, by też wszystkie dusze do piekła wiódł za sobą, tedy mu żaden nie może mówić, czemu tak czynisz? Niechaj tedy ten sędzia, sam ślepy będąc, ślepe sługi swoje sądzi i ślepe za sobą wiedzie, który już sam jest od dawnych czasów od Pana Boga osądzon na wieczne męki do wnętrznych ciemności, kędy będzie płacz i zgrzytanie zębów".

Równocześnie kazał drukować Wergeryusz, ex-biskup i ex-legat papieski, polską rzecz (kłamliwą) o papieżnicy, r. 1560 i kończył „Historyę o papieżu Janie VIII." tryumfującym okrzykiem o trzeszczeniu i zapadaniu się zgniłych wiązań Kościoła rzymskiego w Polsce: lecz tryumfy były przedwczesne, ten sam rok 1560, był już ostatni niezamąconego powodzenia protestantyzmu polskiego; rzeka, co tak bystro wylała, miała niebawem na zawsze, coraz zwężać swe koryto i z Wisły, grożącej zatopieniem całej Polski, w strugę małej Szreniawy zeszczupleć. Pokazało się, że rewia sił protestanckich, jakiej młody Trzecieski w elegii łacińskiej r. 1556 o początkach i wzroście nowej ewangelii dokonał, jaką Rojzjusz w Tysiączniku swoim dosyć słabo odpierał, zawiodła; że sił, zamiast przybywać, coraz ubywało. W literaturze objawiło się to później, niż w życiu. Sztandar katolicyzmu zatknął prowokacyjnie Orzechowski, sam katolik wcale nie szczególny, zagłuszający wrzawą swego wystąpienia zarzuty, jakie przeciw niemu protestanci formułowali, i wolał on pisać po łacinie, dla całego świata, gdzie nie wiedziano tak dobrze jak w Polsce, że ten szermierz katolicyzmu, to sam ksiądz żonaty i pod klątwą długo zostający — chyba, że listy polskie rozsiewał do panów, w których na cel brał głównie obcego, Stankara, i nad nim się znęcał. Współcześni katoliccy pisarze za nim nie zdążali; taki np. „Wizerunk fałecznego i ducha i nauki i pisma tych ewanielików" i t. d. (z r. 1561) bił jeszcze w naukę nie w jej mistrzów, kazał tylko ogółem strzedz się tych „nowaków", co „wiarą to tak to sak mienią", sami między sobą niezgodni, wznawiający dawne kacerstwa, burzyobrazkowie, „walcający" się między nimi, i inni „wilcy" swowolni.

Rozproszone siły katolickie skupili i wzmocnili niesłychanie dopiero Jezuici; wystarczy wskazać fakt, że w dziesięcioleciu przed ich przybyciem katolicka polemika niemal zupełnie prz... chła, rozmów o wiarę nie było, szkolnictwo odłogiem leżało, k... sztory się wypróżniały, nabożeństwo jawnie upadało, — aby ... nić całą doniosłość ich pojawienia się w Polsce. Odżył katolic... Nowy, wykształcony gruntownie, karny, ku jednemu celowi ws... drogami dążący zakon, oparty o protekcyę Rzymu i wyżs... duchowieństwa polskiego, Hozyusza i innych, liczący w sw... gronie siły najznakomitsze, przyciągający wszystko co zło... świeże, młode; szkołami, nabożeństwem, bractwami, dysputam... najpierw choćby tylko po łacinie, dalej publikacyami, i łacińsk... i polskiemi; jako teologowie przy dworze, badacze sumień w k... fesyonale, misyonarze po wsiach i miasteczkach, nauczyciele m... dzi — mógł chyba ten zakon za Cezarem powtórzyć: Veni, vidi, vici. I zmieniło się w Polsce wszystko, począwszy od klasztorów, w których za „reformy" bywało nieraz tylko jednego lub ... mnichów „i to takich, jakich sam p. Bóg lepiej wie" (Smo... lecki, o exorbitancyach wedle wydania z r. 1632), a skońc... wszy na dworach pańskich i szkołach. Nawracania panów, jak to Zborowscy, Opalińscy, Lubomirscy i wszyscy inni do wiary przodków powrócili, opisał najdokładniej Cichocki, 1615 r., poplecznik Jezuitów; statystykę drobnych nawracań, choćby dla Jezuitów krakowskich, znajdziemy u Wielewickiego. Lecz nie o ten coraz szybszy postęp katolicyzmu nam idzie; pytamy, jak w literaturze odbił się nowy prąd, wystąpiła działalność Jezuitów. Protestanci rychło zatrąbili na alarm; spostrzegli, z jakim czujnym, silnym, ruchliwym nieprzyjacielem przychodziło im teraz w szranki wstępować. To już nie zakonnicy, w których „klasztorze Bogu dzięki, jeśli się jaka summula spowiednicza abo postylla kaznodziejska znajduje" (Smogulecki), toć uczniowie Bellarmina, Suareza i innych znakomitości europejskich, którym i greckim a nawet hebrajskim cytatem nikt nie mógł imponować, którzy sami się na dysputy i rozmowy napraszali, a jeśli protestanci skrewiwszy na placu nie stawali, między uczni role kacerzy rozdawali i *coram populo* heretyków na głowę pobijali. O każdej „rozmowie" zawiadamiano świat polski i same tytuły tych publikacyj, „Pogrom lewartowski" itp., świadczyły o animuszu wojennym nowo zaciężnych bojowników katolicyzmu. Zawrzał też protestantyzm elementarną przeciw „Hiszpanom" nienawiścią i z samej Polski, ulubionej Jezuitów siedziby, wyszły trzy najjadowitsze

przeciw synom „Lojole, bojarzyna (*bellator*) desperata hiszpańskiego“ paszkwile, tłómaczone na liczne języki, drukowane wszę-e: jeden z nich, *„Monita privata Societatis Jesu“* (i po polsku dany: „Napominania privatne jezuity Zahorowskiego!!“) odżył cze i w XIX. wieku; w półtora roku rozeszło się jego kilka-siąt tysięcy egzemplarzy; wydał go nawet, jako autentyczne uickie pismo (!) slawofil Samarin, niby coś nowego, niezna-o. Prawda, że z owych pamfletów tylko pierwszy, *Actio in as (Equitis poloni,* wydane po polsku jako Konterfekt jezuicki ez Prawdzica 1594 r.) do XVI. wieku należy, tamte oba z r. 7 i 1612 pochodzą. Zaogniał się coraz bardziej spór: postyle ickie (Wujka), modlitewniki z pieśniami (Harfa Laterny) ru-ały protestanckie z rąk katolickich na zawsze, wykazywały actwa i fałsze ewangelickie; Grzegorz z Żarnowca nowe wydanie swej postyli przetykał też polemiką swoją przeciw „Jebuze-n“ włoskim i hiszpańskim, główkom wykrętnym, niemal wy-mie.

Nie zadowalali się Jezuici występowaniem z otwartą przył-ą, w dziełach Skargi i Wujka, Grodzickiego i Wysockiego, ale pisywali i pod imionami przybranemi lub wystawiali świeckich księży, jako autorów; nie wystarczały im dzieła uczone, łacińskie, albo poważne, polskie, lecz uciekali się choćby do wierszów a raczej wierszydeł, do pamfletów i paszkwilów, broń protestancką równą bronią odpierając.

Żeby ocenić należycie cały wpływ jezuicki na literaturę katolicką, na nadzwyczajne, niesłychane jej ożywienie, trzeba zważyć, że taki Herbest, Wujek, Skarga, Wysocki — pisarze najpłodniejsi, tylko jako jezuici do literatury i dzieł polskich się zabrali. Gdyby nie jezuici, nie byłby Herbest ani Warszewicki (Stanisław) pióra polskiego ani tknął, Skarga byłby pozostał kaznodzieją, jakim był np. wymowny, natchniony Łukasz Lwowczyk, którego słowa gorące podziw i postrach budziły, po którym jednak prawie nic a nic w literaturze nie pozostało i tak byłoby z każdym innym, z Wujkiem, Śmigleckim i t. d. Siły ich pomnożyły się dziesięciokrotnie, skoro do zakonu wstąpili. Przed tem, przed zjawieniem się Jezuitów, byle jaki protestant łeb wychylał i skrzeczał na babilon rzymski, na „kątolików“, na „hańby“ (alby) i „konewnije“ (kanonje) ich księży, a katolicy puszczali to stale mimo uszu. Teraz każdą żabę skrzeczącą kamieniem częstowano — każde ich kłamstwo musimy im (protestantom) w własny ich łeb wtłoczyć, mawiał Łaszcz i programu tego trzymali się Jezuici

wiernie; na każde dzieło, broszurę, pamflet protestancki sypały się jezuickie dzieła, broszury, pamflety. Że nie przesadzamy, że nie powiększamy zbytnio udziału jezuickiego w literaturze polemicznej i religijnej, dowodzi fakt następujący.

Do niedawna, do pojawienia się dyaryusza krakowskiego domu jezuickiego (św. Barbary) ani wiedzieliśmy, ani przypuszczali nawet, ile to dzieł, pod najróżnorodniejszemi nazwami autorskiemi, wydało kilku tylko Jezuitów. Np. taki Marcin Łaszcz, z Kalisza, Jezuita, pod swojem nazwiskiem nie publikował nic, ale wszystkie dzieła, wydawane pod nazwami Isiory, Tworzydła, Paulina, Słupskiego, kilka nawet pod nazwiskiem Skargi i Żebrowskiego wydane, są jego pióra. — Dawnom czytał był w Ossolineum, u Raczyńskich i t. d. owe ciekawe, z taką werwą pisane Sumaryusze, Odprawy, Okulary, Missye (z piekła) i t. d., nigdym jednak nie przypuszczał, że te dzieła, które np. i u Maciejowskiego w trzecim tomie Piśmiennictwa pod Słupskim, Tworzydłem itd. figurują, wszystkie były dziełami **jednego** Jezuity! Tak samo ma się rzecz z Jezuitą Wojciechem Rościszewskim: dzieła polskie i łacińskie, Olbrychta Borkowskiego, Międzyboża, Przedborowskiego, Boboli (Jana), dzieła przeciw Kalwinom i Aryanom pisane, przemowy do senatu i rycerstwa, subtelne badania teologiczne i karczemne wyzwiska, wszystko wyszło z pod jednego pióra. Podobnie pisuje Gaspar Sawicki i pod zmyślonem nazwiskiem Jana z Prus Gołubskiego (cztery dziełka, jedno dowcipniejsze i drastyczniejsze od drugiego) i pod rzeczywistemi Cichockiego i Linowskiego; że jezuita Stephanowski dziełko ks. Żagiela (nie Żagla) napisał, wiemy z Niesieckiego i t. d. Oni nawet wydali pod nazwiskiem superintendenta Turnowskiego Konstytucye zborowe (r. 1614) ludziom na pośmiech, aż je protestanci zbijać musieli osobno.

Tak to powstała bogata literatura, mianowicie broszurowa, pełna wycieczek najostrzejszych, już nie, jak niegdyś, przeciw nauce i duchowi, ale przeciw osobom samym i ich życiu. A Jezuitom sekundują dzielnie i mieszczanie, również prozą i wierszem, poważni (Krakowianin Ludwik Kremer, tłómaczący sam, obok Jezuity, Lessyusza o wyborze wiary) i żartownisie lub paszkwilanci, Sowizdrzali i Zimorowicze — rzadziej zawieruszał się w tę zgraję jakiś szlachcic, Przewodowski, Ramułt, Zrzęczycki, lub jakiś ksiądz świecki, Marcin z Klecka i inni. Wilno, Poznań i Kraków to trzy główne ogniska tej literatury, zwalczającej na

miejscu zbory i brogi; wyjątkowo padnie strzał i gdzie indziej. Coraz rzadziej odstrzeliwają się protestanci: ci, co w XVI. wieku tak szumieli, odzywają się w XVII. coraz słabiej; wytaczają sprawę na zjazdy, sejmy, rokosze, nie na pole literackie, chociaż i tu nieraz jeszcze się odezwą, ale już tylko gdzieś w dali, w Toruniu, na Podolu w Paniowcach, w Prusiech, w Wilnie; lecz i tych książek ich coraz mniej się rozchodzi; nawet w Lubczu nad Niemnem i w wielkopolskiem Lesznie o polemikę trudno. Coraz niepodzielniej zawładnął też tryumfujący katolicyzm jezuitów polem, coraz dotkliwsza ich walka, gorsze ich szyderstwo, więcej ubliżające ich napaści. Właśnie w pierwszych dziesiątkach siedmnastego wieku rozwydrzyła się ta literatura; jeżeli około 1590 r. jeszcze zachowywała jakiekolwiek pozory przyzwoitości, szacunku siebie samego, rozwagi, to pozbywała się teraz wszelkich więzów, lżyła, sromociła, szkalowała, nie zostawiała suchej nitki — nie na nauce, ale na samym człowieku. Lecz jak tumulty miejskie w końcu ustały — gdy zabrakło brogów i zborów, gdy kupcy innowiercy się powynosili i nie było już kogo rabować, podobnie ucichła wreszcie i ta literatura; w czterdziestym dziesiątku XVII. w. pojawiają się ostatnie szydercze paszkwile wileńskie. Tylko sprawa aryańska wywołuje jeszcze namiętną polemikę, którą głównie Cichocjusz prowadzi: gdy Aryan z Polski wydalono, i to zarzewie zagasło. Przez cały następny wiek pojawi się broszura czy dzieło antiprotestanckie już chyba wyjątkowo: nieraz przetłómaczą coś z francuskiego przeciw kacerzom, napiszą i sami coś nowego z powodu jakiejkolwiek nowej sprawy; sami dyssydenci odezwą się i w obcych językach, np. po niemiecku, lecz wszechwładza katolicyzmu w Polsce nie liczy się już teraz na seryo z niedobitkami protestantyzmu polskiego, grożącego niegdyś pochłonięciem całej Polski.

Lata 1590—1640 są więc decydujące w tej polemice reakcyi katolickiej; tylko wtedy rozgorączkowała ona ogół, czego dowodzą choćby powtarzane wydania najpodlejszych świstków, zczytane do szczętu, tak, że nawet Bibliografia Estreichera o niejednem wydaniu wcale nie wie. Np. przytoczone powyżej pismo Smogulleckiego, o exorbitancyach, wydał w Kaliszu Wojciech Gedeliusz r. 1619, ale egzemplarze tak rychło się rozeszły, że tego samego roku wydanie powtórzył. „Declaracyi nowego prawa confederacjej 1615 r.“ przytacza Estreicher jedno wydanie, są jednak dwa (po 6 i po 8 kart); podobnie *„Considerationes de exceptione* Ichm. Pp. duchownych“ i t. d. 1632 r. jedno wydanie u Estrei-

chera XIV., 371, było dwa, po 14 i po 10 kart i t. d. Nie dziw też, że wobec tak rozbudzonego zajęcia, odgłosy, urywki, próby tej polemiki wyznaniowej wszędzie się zawieruszają, gdzieby się ich nikt nie spodziewał. Np. jest znakomita broszura p. t. *Sejm piekielny*, jedno z najciekawszych pisemek dla obyczajowości ludowej, pełne ważnych wskazówek o zabobonach, przesądach i t. d.— wyprowadzeni tam różni dyabli, zdający przed Lucyperem sprawę, co też na świecie zdziałali, są tam i dyabły gachowskie, szkolne, ruskie i inne, jest naturalnie i heretycki, i ni stąd ni zowąd wtrącono po jego sprawozdaniu łacińskie pseudokazanie Jana Kochleusza, jakie niby Lutrzy zeszyli mu z rozmaitych tekstów pisma św. (np. tego rodzaju: i uciął Piotr Małchowi ucho i rzekł mu: bracie, czyż ja cię krzywdzę, weź co twoje i odejdź itd. — znane są rozmaite redakcye takiego błazeńskiego tekstu) ale nieznany mi autor Sejmu wziął to po prostu z „Przestrogi na chytrość ministrów ewangelickich w rozmowach o wierze“ ks. A. Wargockiego (r. 1605) i zdradził czas pierwszego wydania dziełka swego, które mylnie jeszcze do XVI. wieku przesuwano.

Takie pożyczki wzajemne, naturalnie bez wymienienia źródła, są bardzo częste. Weźmy np. „Łódkę Kościoła św... pokazującą błędy heretyckie i wywodzącą nowych sektarzów z labiryntów martwego morza“, mistrza filozofii Andrzeja Liszewskiego (r. 1613, w Krakowie). Poezya tego dziełka (o 22 kartach) haniebna, argumentacya strasznie naiwna, broni np. postów i t. d., jeźli w piśmie św. ich się wyraźnie nie nakazuje,

Lecz też tego nie najdzie, aby zakazano,
A gdzie niemasz zakonu, niemasz i przestępstwa:
Ten tym samym łamie się paragraf kacerstwa!

ciekawa tem, że autor sam był protestantem:

bom chodził czas długi,
Jako ryba w odmęcie, między rozlicznymi
(Chwytając się ministrów) sektami nowymi,

był zdaje się i Aryaninem, bo się szczególniej na nich rzucał, na ich mistrza („Budnego, *alias* Brudnego abo Kopciucha“) i na ich naukę o zmartwychwstaniu (tylko dobrych ludzi), o Chrystusie (pokutującym za grzech własny), o Bogu (nie wiedzącym rzeczy przyszłych). Ale dziełko to milczkiem przyswoiło sobie całe ustępy z „Rozmowy o Confoederaciej“ r. 1592. I takie plagiaty częste-

Powtarzają się też stale te same argumenty, porównania (np. biblia, to statut, lecz jak sędzia autoryzowany do tego statut wykłada i aplikuje, tak i Kościół biblię), zarzuty (kto autorytet kościelny obala, nie ostoi się przed nim i świecki).

Ton tych pism z każdym rokiem drastyczniejszy. Luterska wiara, wedle Łaszcza-Słupskiego, już się w raju poczęła, wąż był pierwszym jej ministrem i odradzał Ewie od postu, od niejedzenia jabłka i t. d.

Jawna pogarda, epitety hańbiące, przytyki nieuctwa, życia sprośnego, fałszywej pokory, musiały gorliwych, licznych, naiwnych czytelników niepokoić i podburzać, wzniecały nienawiść i podsycały ją stale. Ulubiona gra słów, przedrzeźnianie imion — prawda, że protestanci na tę drogę sami najpierw weszli i w katolikach bardzo pojętnych uczniów wyhodowali: minister jest z początku tylko sinister, ale potem stale świnister, superintendent staje się superpendentem, kalwin kulfonem i t. d., tak odpłacano protestantom ich kątolików, Suitów i podobne grzeczności, zdradycye (tradycye), bajędy (agendy); że i „luterstwo“ się nie wysiedziało, lecz w „łoterstwo“ przeszło, już hetman Tarnowski zawinił. Przykłady naruszania czci, posądzania o wszelkie najhaniebniejsze zbrodnie, znajdziemy niżej.

Dziś wiemy i widzimy, do czego ta nietolerancya doprowadziła, jaką wyżłobiła przepaść między schizmą — o której tu zresztą jak i o żydach, umyślnie nie wspominamy, ograniczając się do protestantyzmu wszelkich odcieni — a katolicyzmem, między protestantami, garnącymi się już w XVII. wieku do Gustawa Adolfa, Karola Gustawa i Rakocego, a Rzymianami. Wtedy było jednak inaczej: Katolik, nie instygujący na protestantów, uchodził za „polityka“ t. j. za obojętnego w rzeczach wiary, stawiającego ojczyznę doczesną nad wieczną, a więc budzący nieufność (np. Zamoyski u Karnkowskiego). Wszystko wtórowało, mimo pojedyńczych czynów tolerancyi, miłosierdzia i miłości chrześciańskiej, (które jednak i za złe brano), hasłom nienawiści, zmuszania do wiary (*„compelle intrare“* powtarzano z ewangelii), mszczenia zniewag, jakich za granicą, lub w miastach pruskich, w Toruniu i Gdańsku, protestanci nad katolikami się dopuszczają; coraz powtarzano, czego nam katolikom spodziewać by się, gdyby oni nami zawładnęli; posądzano aryan wręcz o spiskowanie z Turkiem, uważano ich za szpiegów, przesłańców mahometanizmu w Polsce. Wykazywano, jak oni nawet w Polsce po miasteczkach i wsiach ludzi o wiarę gnębią, twierdzi np. proboszcz poznański,

ks. Wojciech Emporyn (Excepcya i t. d. 1600 r.), że Glicner w Grodzisku przewiódł, iż katoliki o wiarę „winami nieznośnemi karano i więzieniem trapiono" a toż samo potwierdza ks. Marcin w „Procy na ministry" (1607), że Glicner chłopów bić kazał, gdy do jego zboru nie chodzili; po wsiach wywołują włodarze po dwu, trzech na kazania, jakby na zaciąg, kto nie przyjdzie, pójdzie do kłody lub go obiją.

Najbardziej jednak bito na Aryan; protestantom trzymali przecież plecy magnaci, Radziwiłły, Leszczyńscy, Firleje; za Aryanami nikt nie stał, nienawidzili ich protestanci jeszcze gorzej niż katolików. Świadczy to bardzo korzystnie o wyznaniowych stosunkach polskich, że mimo powszechnej nienawiści przetrwali oni aż do czasu, gdy nowy wybuch podrażnionego napadami innowierczymi katolicyzmu na zawsze ich zmiótł z ziemi polskiej.

Niepokojono ich jednak i przedtem często; co Radziwiłłom uchodziło, zrębującym nawet krzyże przydrożne w dobrach własnych, taką wojnę z Chrystusem, niewinniejszą, głupich ich żaków, przypłacili Aryanie wszystkiem, szkołami, drukarnią i t. d. Lecz i w walce przeciw Aryanom Jezuici rej wodzili, w dziełach uczonych Śmiglecki, w broszurach Skarga i Łaszcz (Zawstydzenie nowych Aryanów, na których go „złość zjadła", ujmującego się o krzywdę Chrystusową; Messyasz), w pamfletach anonimowie. Jeden z tych pamfletów szczególniej ciekawy, dla anegdot, tchnących nieraz humorem staropolskim, Zagłoby; nie wszystkie jednak przytoczyć tu można. Jest to „Apendix... wyznania bluźnierskiego zboru rakowskiego" ofiarowane

Synagodze łotrowskiej. która acz dziś świeci,
Przyjdzie ten czas, gdy ją Bóg wygładzi z pamięci.

Nie zbyt trudno było to wyprorokować. Następują anegdoty o ministrach, Szumanie, Naborowskim (które, acz znakomite, pomijamy) i i..; jedna o słudze: „posłał pan sługę z listem do drugiego Aryana, pyta ten: panie bracie, a wy jako wierzycie? odpowie sługa, tak jako mój pan, Mpanie. A pan wasz jako? Tak, jako pan Kozłowski. A Kozłowski jako? Wie go dyabeł, Mpanie, jako pan Kozłowski wierzy, już to nie mojej głowy". Albo o włochu Brutusie za króla Stefana, bogatym i uczonym człeku, co Dominikanom o jałmużnę proszącym odpowiedzieć kazał, *non est bonum sumere panem egenorum et mittere Dominicanibus ad manducandum;* parodye pisma świętego bardzo lubiono, więc gdy aptekarzowi Aryanowi zarzucają, że doktora żydowskiego, Mojże-

sza, u siebie zawsze miewa i nic bez niego by nie umiał, on się na słowa Abrahama (do bogacza) powołał: mają tam Mojżesza i proroki, niechajże ich słuchają. „Pokorę Aryańską“ już Maciejowski z tej broszury przedrukował.

Zaprzeczyć się nie da, że literatura podobna, a z kazalnicy słyszano zgodne słowa, drażniła, podburzała i wichrzyła i nie ujdą ani Skarga ani Jezuici zarzutu, że waśń wyznaniową srodze poddymali; nie darmo skarżyli się protestanci, że Proces na konfederacyę Skargi (1595 r.) „krwią pachnie“ — a pismo to w coraz nowych przeróbkach, energiczne, zwięzłe, jasne, szerzyło się bardzo; lecz i jego poprzednie „Upominanie do ewanielików... iż o skażenie zborów krakowskich gniewać się i nic nowego i burzliwego zaczynać nie mają“ (1592 r.), gdzie się dziwił, „jako dwa abo trzej zapalczywych heretyków zukać mogą kila tysięcy katolików“ wywołało ostry, choć zasłużony całkiem „Respons w porywczą dany na Upominanie itd.“, warujący, „iżby księża swoimi pociemnymi, płonnymi a wywyższałymi sztuczkami pokoju turbować nie mogli“; „niespokojniczkom, wam księżej, grozy a morderstwo Szawłowskie sapającym“ odpowiada niby katolik. Jeżeli Skargi od zarzutu nie uwolnimy, łatwo pojąć, co o innych, Łaszczu, Bembusie, Tyszkiewiczu i t. d. sądzić należy.

Więc nie ruszalibyśmy tych steków nieraz nienawiści, pogardy, plotek nawet, gdyby rysy obyczajowe, humor albo satyra staropolska, wątki powieściowe czy nowelistyczne, wyraziste tło czasu, nieporównany język, z tymi wybrykami przeciw estetyce, miłości bliźniego, a nawet i prawdzie nas nie godziły. Znaleść tam można rzeczy, których by się nikt na owe czasy nie domyślił. Np. twierdzenie, że między Francyą a Polską istnieje pewna sympatya, powinowactwo niby, że więc co w jednej, to i w drugiej przygodzić się może, wypowiedział ks. J a k ó b O s t r o w s k i już r. 1604. w Dyalogu Katolika z Ewangelikiem. Jeżeliby kto wątpił, że niecny czyn Sicińskiego ujawnił tylko, co u wszystkich na myśli było, przekona się o tem z słów Smoguleckiego w Exorbitancyach (str. 16): jeśli j e d e n p o s e ł, j e d n a o s o b a może u nas wstręt uczynić zgodzie wszystkich, nie mogą być ważne postanowienia, jeżeli j e d e n n i e p o z w a l a i t. d. — pięćdziesiąt lat przed Sicińskim! Z Dyalogu o Kompozycjej, materyi podobnej, lecz dawniej (1582 r.) napisanym, a razem z dziełkiem Smoguleckiego (i Dobrocieskiego Informacyą z r. 1607) drukowanym, dowiadujemy się, że już wtedy „nam chybieją one wszytkie praktyki gburskie“ o pogodzie, od przodków za pewne podane, cho-

ciaż w tem nie tak skąpstwo przeciw Kościołowi, jak raczej zmiana kalendarza gregoryańskiego, rolę odegrała. A ile tam innych, trafnych spostrzeżeń, o sądownictwie polskiem np., jeżeli sprawa z panem, to „jak na Podole, tak się na poroczki, na sądy, wyprawować przychodzi“, o ileż lepiej i pewniej w sądach duchownych, choćby i do Rzymu kłósać się musiano, gdzie nie sądzą ludzie, co czasem i czytać ledwie umieją „i dekreta nie przez widzi mi się marcowe, jak kostki rzucał, padają.“

Choćby dla takich szczegółów i rysów nie godzi się pomijać owych wymownych świadków przeszłości. Powołamy teraz kilku, lecz wybierzemy nie tych, których p. Sobieski przytoczył, bo nie chodzi nam ani o argumenty, jakimi za i przeciw procesowi konfederacyi walczono, ani o to, na kogo winę tumultów miejskich, wileńskich, poznańskich, krakowskich zwalano. Chodzi nam o kreślenie tła tych zapasów słownych, jak to na protestantów i ich ministrów szczuto, co o nich szerzono; jakiegokolwiek wyczerpania tematu bynajmniej nie zamierzamy; głównego materyału dostarczyły nam biblioteki toruńska i gdańska: ewangelicy zbierali chętnie takie rzeczy; są tam broszury z własnorecznemi dedykacyami lub exlibris Stankara (syna), Turnowskiego, Glicnera i t. d. dalej niewyczerpany w zasoby Kórnik.

A. Brückner.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Nienawiść wyznaniowa za Zygmunta III.

Szkic obyczajowy i literacki.

III.

Lata 1590 i 1640, naznaczyliśmy granicznemi tej literaturze, naprawdę Zygmuntowskiej, choć i w czasy syna sięga. Wypadałoby ją zacząć może „Pogromem lewartowskim" (1592 r., kart 19), gdzie Piotrowski w formie rozmowy między katolikiem i dyssydentami „wygraną ks. jezuity Radzimińskiego dysputacyą" wierszami opiewa, najcenniejsze szczegóły przytaczając, np. o Wojciechu z Kalisza, nowochrzczeńcu, dobrze znanym Jezuitom,

> Boć je w swojej Akcyej obramował szczodrze,
> Którą przed trzema laty w Chmielniku uknował
> A Woidowius (arjanin) w Niemcech kryjomkiem drukował

— rozstrzygające świadectwo a autorze słynnej na cały świat *Actio in Iesuitas* i refutacya baśni o Klonowicu jako jej autorze, w którą sami Jezuici później uwierzyli. Ale i innych szczegółów tam pełno, o wszelkich „ministrach ponurzalikowskich", o „papieżu nurzałowskim" Czechowicu, o Socynie w starej szubie lisiej, opartym o mydlarza, mieszczanina lubelskiego, o „gorąco kąpanym" Lubienieckim; Piotrowski trzyma się ściśle rzeczywistości, paszkwilu, karykatury jeszcze się nie waży, jest to jeden z najlepszych opisów, ówczesnych, tak licznych, tak ważnych dysputacyj religijnych, popłacających jeszcze w Polsce, gdy za granicą

od dawna już wszystko za łby się wodziło i argumentowano tylko szablą i pułhakiem; świadectwo Piotrowskiego, jak to „nurka“,

Tak na jeden sztych zawsze starca źrzeniałego
Prowadził Jezuita, już wywyższałego

tem ważniejsze, że w następnej „Dysputacji Lubelskiej“ tegoż jezuity Radzimińskiego, opisanej prozą, również bardzo dokładnie, z przytoczeniem wszelkich argumentów (przez Przylepskiego, 1592 r.), prawdziwość „Pogromu“ potwierdzono. Już u Przylepskiego ton nieco żwawszy, już sarknie on: patrzcie, „w tych szarych kopieniakach jacy bluźnierze o boki się nasze ocierają“, ale dopiero jezuita (Żebrowski, właściwie Łaszcz), rzucił się z całą furyą w „Recepcie“ swej na „Plastr“ Czechowica, ministra nowochrzceńskiego. Czechowic sprowadził sam na siebie tę burzę, swoim niepowściągliwym językiem i usłyszał za to od Jezuity np. „że cię czarci za te bluźnierstwa do tego czasu nie wzięli, to oni czynią, że się boją, abyś ich temi słowy tak jadowitemi nie wyswarzył z piekła, ale czekają, aż się tu wyszczekasz, wyswarzysz i wyszalejesz, tożci dopiero dadzą miejsce między sobą.“ Słyszał on i lepsze dusery: o niezbożny a śmierdzący trupie, o smrodzie perfumami piekielnymi smierdzący, piekielny kruku itp. Mimo tych obelg „Recepta“ nadzwyczaj ważna, odsłania wiele rzeczy ciekawych, chociaż niepotrzebnie „karczemne i kulfańskie słowska“ takiemi samemi albo gorszemi oddaje. Zarzuca Aryanom wręcz adamityzm: „co pokątnie broicie, umieją to sługi wasze powiadać i sami przez skórę tym smrodem śmierdzicie, a przedsię się za wielkie chrystjany macie, chocia jako bestje żyjecie“; naturalnie nie brak i aluzyi innych: „wszak tak on jeden z waszej roty niepośledniejszy przed śmiercią mówił: piekła się nie boję, o niebo nie trwam; i takci wytchnął, tylko co mu grób na wysokiej górze postawiono, toć wszystko niebo jego“. Mowa tu naturalnie o Węgrzynie Batorego, Kacprze Bekieszu i grobie jego na górze wileńskiej: u spółczesnych krążyły i wiersze na ten temat, które p. Wierzbowski w Pracach Filologicznych Warszawskich (V. str. 108) wydał; i w „Appendix“ mowa o tem.

Z Aryanami więc nie ceremoniowano się więcej; na razie inne „sekty“ łagodniej traktowano. Wielkiem stosunkowo umiarkowaniem odznaczają się wiersze „Rozmowy o Konfederacjej“ (1592 r., jakiegoś „P. M.“, nie wiem kto to) — prawda, stawia autor przez usta księdza szlachcicowi drażliwą alternatywę: jedna

droga do Boga, przywrócić jak było za dawnych królów, druga do Baala, do konfederacyi, wybieraj! Mimo to ton jeszcze nie zaczepny; jeszcze uskarża się autor na krzywdy, jakie cierpią księża od innowierców, ubiją i nawet płakać nie pozwolą, cóż dopiero skarżyć, wymuszą jeszcze podpis, cofający akcyę prawną; tak w Sądczu „kijmi i podkówkami" na poły uśmiercili księdza, w Kaliszu Jezuitę, w Gnieźnie „jednego na dom naszło kanonika"; na przymus, jaki lud cierpi, który chłop nie pójdzie na kazanie do dworu, „albo winę dać musi albo sieść w gąsiorze, aż nakoniec kijową pokutę odniesie". Tu już wystawiony argument, którym duchowieństwo szlachtę kaptowało zawsze; odbieracie nam dochody, a my przecież tylko

Chcieliśmy braciej młodszej, synom waszym, tego
Tak dotrzymać szpitala w cale szlacheckiego:

a więc nie psujcie chleba duchownego, bo to „szpital szlachecki", do którego plebejom wara! Za to na ministrów się obrusza: nie umieją nic, prócz lżenia katolików, jeśliż dopiero „obiecadłem greckim pofarbuje gębę sobie", toć dyabelskie naczynie za boskie mają — nie darmoż ministrowie z plebsu się rekrutowali. Na szczęście ubywa protestantów, „bo ich stadko niewielkie, jak sami śpiewają"; uniewinnia, jak Skarga, napad na bróg krakowski, nic im tam nie zginęło, nawet „biednych biesag" nie (gra słów z nazwą ministra „Brożanów", Biesagi) — a co oni w miastach pruskich wyrabiają, gdzie katolikami „jako wywołańcami imi pogardzają". Więc ujrzał szlachcic, co się w konfederacyi pod płaszczem wolności szlacheckiej ukrywa i odstępuje od niej uroczyście.

Tu chodziło o konfederacyę, lecz ton stawał się wiele ostrzejszy, skoro Jezuici tykali osobistości. Ktokolwiek z protestantów się wychylił, np. Szymon Turnowski, dowodząc, że wiara staropolska, Wojciechów i Stanisławów, właściwie ewangelicką była (tej polemice zawdzięczamy najdawniejszą wiadomość o biblii staropolskiej, którą rzeczywiście protestanci dochowali); czy Chrząstowski, Artomjusz i inni, zwalczając naukę katolicką o sakramentach, czyśćcu itd.; czy Mikołajewski i inni, o dysputacyach z swego stanowiska sprawę zdając — natychmiast Jezuici gromią przeciwnika. Łaszcz (Marcin Tworzydło) na „Zwierciadło nabożeństwa chrześciańskiego" Szymka albo Szymaszka, wystawił „Okulary", żeby się „sprośny baidko" jak małpa w zwierciedle sobie

przypatrywał; wyśmiewał, że sobie Stanisława przywłaszczył — chyba Stanisława Suderka (Sudrowskiego), exkata lwowskiego. Miał on walne przyczyny, by szturmować na „Zwierciadło“, gdyż Turnowski zwalczał najusilniej nauczanie Jezuickie. Nietylko w Polsce, ale i w Niemczech oddawali rodzice — protestanci synów Jezuitom dla dobrej nauki szczególniej łaciny i próżno bili na tę lekkomyślność teologowie protestanccy; pisemko jeneńskiego profesora Miljusa, skierowane przeciw temu, przetłómaczył spółcześnie na polskie jakiś Prusak (r. 1596). Rodzice twierdzili, jeśli nas, wychowanych w katolicyzmie Bóg z tego obłędu wyprowadził, czegoż mamy się obawiać o naszych synów, ugruntowanych już w katechiźmie? Pokazało się wnet, jak srogo ta lekkomyślność zemścić się miała. Uderza więc Turnowski na szkołę jezuicką i przemawia przez niego niechęć ku humanizmowi, którą u nas już u Reja widzimy („bo a co mu potym, jako Circes ludziom głowy odmieniała albo jako Ulixes pływał albo co Helenka broiła, abo co Penelope czyniła“ itd.), twierdzi on, że umyślnie odwodzą Jezuici młodzież od czytania pisma św. a nakłaniają do autorów pogańskich, aby ich powoli do ateizmu, we Włoszech już tak silnego, sprowadzić! Uczą dziatwę więcej wierzyć papieżowi i ustawom jego, niż słowu bożemu; przeciw regule innych zakonów rzucili się jezuici do uczenia młodzi, „by wszędy byli“; zaklina rodziców, aby nie ofiarowali dzieci swych „molochowi temu na bisurmaństwo“ i wskazuje ateizm włoski (humanistów), którego rzadki z naszych panów, bywający we Włoszech, tam się nie opija.

Dysputacya Wileńska Jezuity Śmigleckiego z ministrami Mikołajewskim i Gracyanem w r. 1599, zerwała całą burzę pisemek i pism: posypały się relacye o niej, w której każda strona sobie zwycięstwo przypisywała, od Jezuitów, samego Śmigleckiego, ucznia jego Białuskiego („Łupieże martwe skryptu Marcina Gratiana“ itd.), księdza Żagiela, Wąpierskiego, od protestantów — wmięszali się i dalsi, aż do Krakowa, gdyż rozprawiano o „przełożeństwie biskupa rzymskiego“. Jeśli Śmiglecki jeszcze granic przyzwoitości przestrzegał, to używali sobie na przeciwnikach Białuski i reszta. Najbardziej kpili z ich „X“ — tytułu „księdza“ katolickiego napierali się ministrowie, chcąc koniecznie zrównać się z katolickimi, chociaż lud sam im nigdy tego tytułu nie przyznawał, tem mniej naturalnie Jezuici. Pytali, skąd święcenie — od urzędu burmistrzowego chyba, albo z pod fartucha i kądzieli i prosili, „mój duszko“, „mój drogi gagatku“, aby temu „I. X.“

dawali pokój, nazywali ich „iksami", przywodzili reguły gramatyki łacińskiej o rzeczownikach na — x. pix, bombyx itd., i od tego to bombyx poszła nazwa ministrów kalwińskich na Litwie, bombizów, znana i używana po dziś dzień (bombiz, bombiza, pani bombizina nawet żartobliwie, np. w „Roku Trybunalskim", 1625, czytamy „Ix, pix, bombix Niewierski — zamiast Niewieski — nam waledykuje" i t. d.; przezwiska tego nie umiano później wytłómaczyć; jest to dowcip szkolarski, który się przyjął, nawet w litewszczyznie, bombizas, nie jedyny zresztą). Równocześnie rzucono się na Artomjusza, ministra, co greckiem słówkiem się przechrzcił, gębę pofarbował i w „Recepcie" strasznie z niego szydzono.

Nowe burze zawrzały na kilku miejscach r. 1607 i ciągnęły się do r. 1611. Wywołali je sami ministrowie z okrain, Rosentreter w Turmieju pruskim i Zygrowjusz na Podolu, w Paniowcach, pismami niesłychanie ostremi o wierze własnej i o papiestwie. Wystąpienie Rosentretera było bardzo niefortunne; u Jezuitów dbali starsi, aby nie każde pismo pojawiało się, Wielewicki opowiada np. o skromnym Jezuicie, pisującym gorliwie przeciw protestantom, lecz dla niedostatecznej nauki jego nie pozwalano mu drukowania; u protestantów wojował częściej każdy na własną rękę. Rosentreter wywołał silne napady Łaszcza, Zygrowjusz Rościszewskiego, który jako Olbrycht Borkowski 1611 „Mentiris (kłamiesz, zamiast Minister) Zełgowiusa" w „Ministrze wytknionym a Papieżu obronionym" okropnie posiekał. Zarzucano ministrom, że przytaczają, cytują, czego wcale nie ma, albo czerpią z jakich średniowiecznych „grolów", do których się sami katolicy już nie przyznawają więcej, z jakichś szpargałów i bajend czynią dzisiejszym zarzuty. Więc skarży się coraz Rościszewski, że minister „co tchnie, to łgnie", że aż „drzewo schnąć musi", kiedy kłamać zacznie, „jakiż ja to mam kłopot z tym kutybaką, gdzie szukam (cytatów jego), tam nic nie znajduję"; ba, minister łże „nie po prostu, ale cum figlis, to jest z trzema rycwerkami" (terminów muzycznych nieraz używają, o biskantach i t. d.). Mówiąc, że minister nie wie kiedy przestać, używa nieznanego nam przysłowia: „jako ono mówią, jął się pan Sanderecki plęsać i nie wie kiedy przestać"; nazywa go „piscibaldem" (zamiast rybałdem, ryba = piscis, takie i inne dowcipy szkołą pachną), a jeżeli się tytułów i zaszczytów napiera „Zełgowius", to „nie przystoi kozie w czepcu", może i biskupem będzie, ale

chyba „takim, jakich więc na św. Gaweł widamy“ — ciekawe świadectwo zwyczaju, znanego dobrze w zachodniej Europie.

Zabierali głos i świeccy księża; dawniej już ks. Jakób Ostrowski i ks. Andrzej Wargocki, znany tłómacz historyków rzymskich, wydając obszerną Apologię i krótką Przestrogę: w tej opowiada, jak sam widział jeszcze w r. 1582 u dworzan książęcia jednego, którego nie chce wymienić, że słowa *„verbum Dei manet in eternum“* z żółtego sukna literami wystrzygnąć a na rękawach drabantów swoich przyszyć rozkazał“ — to znaczy litery początkowe V. D. M. I. E., które Kalwin jakiś przeciw luteranom tak wyłożył: *Vestri Doctores Machen Itel (eitel, same) Errores.* Bardzo się oburzał Wargocki, że protestanci wręcz zapierają istnienia niektórych świętych, że u nich Blasius np., to tylko niezrozumiany Basilius, a Christoforus nie człowiek, lecz dźwiganie krzyża, każdemu z nas właściwe: szczególniej daleko unosił się Zygrowiusz w Papopompie z r. 1611, przecząc Jerzemu św. itd. Jeszcze bardziej ks. Marcin, przedtem pleban Ulecki, teraz proboszcz w Miejskiej Górce, poruszył protestantów swoją „Procą na ministry i na wszystkie heretyki z piącią Dawidowych kamieni w tobole“ i t. d. (r. 1607, tytuł tak się spodobał, że użył go niebawem i ks. Zakrzewski przeciw Akademii krakowskiej, „Proca Dawidowa piącią kamieni uzbrojona“ itd. 1623, przed którą się Akademicy „Tarczą obrony“ itd. zasłonili). Ks. Marcin opowiadał bardzo drastyczne rzeczy, o ewanieliku, co to „futrem chlebowym pludry podfutrował“ (ze strachu); o cudzie z krucyfiksem w Biezdrowie, bracia czescy w Wronkach złupawszy go gotowali sobie przy nim ryby, ale tak się „on wyszulec smolno palił, wyleciawszy kominem na poszycie“ całe Wronki spalił, są jeszcze „pamiętnicy“ tego; tak zemścił się krucyfiks wzgardy. Ks. Marcin lżył protestantów strasznie, o ich zborze poznańskim mówił zawsze tylko jako o „Łysej górze, kędy czarci w tańcu z czarownicami skakali wzgórę — nie dziw więc, że minister jeden za tę „Procę“ korbaczem jemu pogroził. Przeciw takiemu dysputowaniu „angielskiemu“, jakie u nas chyba „na Ślesińskim boru“ praktykują, rozjadł się ks. Marcin i napisał „Zwierciadło saskie albo magdeburskie“, w którem ten „furfant“, prawdziwy paw, co to ma głos dyabelski, pierze anielskie a chód złodziejski, przeglądać może, wtedy pewnie jego „fantazya nadęta w sobie zpudli“ — nie rym ci, ale stanie za moje (przysłowie niemieckie, którego i Opaliński w Satyrach użył). Opowiada zabawne historye, jak jeden szlachcic protestant do katolicyzmu wrócił: zajechał na

święta Bożego Narodzenia późno nocą do ministra i, ponieważ drzwi nie były zamknięte, wszedł do izby z „pomaga Bóg“ — alić minister z wąpiorów (betów) brudnych łeb podniesie, ministrowa pod wąpiory się zagrzebie, gdy się rozruszali, taki był w izbie cuch, że szlachcic krtaniąc się (krztusząc) wyjść musiał na dwór, bodaj cię kat sztukował z twoją czystością itd. W taki to sposób dworuje sobie ks. Marcin z ministraszka ptaszka, apostrofuje ich „o nędzni chudaszkowie“, każe „Czechowi (bratu czeskiemu) do lasa z sówką na ptaszki kazać“ itd. A później jeszcze i „Okulary na słaby wzrok“ (ministrów) wydał, 1611 r., w których dawniejsze prostactwa jeszcze przesadził.

Wmieszywali się nawet i świeccy, taki Przewodowski np., który r. 1611 „Judasza“ wydał, porównując z nim ministrów, opowiadając o cudach, nagłej karze np., jaka spotkała ministra, co w kościele w kazaniu pogrzebowem Matce Boskiej bluźnił, jak go na cmentarzu konie stratowały, o innym cudzie w Żurowskim kościele Daniłowiczów, gdzie około Sakramentu św. godzinami niewysłowioną jasność widywano itd. Pismo jego ciekawe i tem, że przytacza (str. 58—63), z biblioteki jakiegoś uczonego pana, list Stanisława Orzechowskiego do Stadnickiego, z Przemyśla w dzień św. Agnieszki r. 1562, o strachach, wizyach dyabelskich, samobójstwach w Dubiecku po wieczerzy ewangielickiej, szwajcarskiej; ciekawego listu tego p. Korzeniowski w „Orichoviana“ nie włączył. Przewodowski, żołnierz niegdyś, teraz ziemianin, powtarza argument Hozyusza i innych: bodaj was Bóg skarał, gdyście zaczęli o ceremoniach, świeczkach, kadzeniu, wodzie święconej gąstolić (szemrać), bo od drobiazgów niby wyszło to zamieszanie, ci Judasze.

Jak nietolerancya już urosła, dowodziłoby chyba samo pisemko (Jana Jurkowskiego) „Poselstwo z dzikich pól od Sowizrzała do małocnotliwej drużyny“, r. 1606, gdzie obok żyda, łotrasa i zdrajcy ojczyzny „jaratyk“ (heretyk) paraduje, jako członek złej ojczyzny, od której dobra rozstrzygnąć się musi, bo Bóg dla tych złych karze dobrych i dla nich nasza ojczyzna „już liszeje u świata z sromoty“. Należą więc innowiercy u tego mieszczanina-pisarza po prostu do tych, których „wywiesić z połowę trzeba, chce-li mieć Polska całą zewsząd głowę“; czerwony, żołędziowy huf Lutrów, pod chorągwią, zrobioną z pluder Lutrowych, zawieszonych jako największa świętość protestancka w Wittenbergu (o tych pludrach, najpierw Husowych w Pradze, jeszcze w Okularach Tworzydły, potem Lutrowych, wszyscy wtedy bajali),

wyruszy w Dzikie Pola, zwabiony wolnością, wierzyć w wszystko, choćby i w rzyć, nie płacić dziesięcin i t. d.

Nic więc dziwnego, że tłumy mniemały skarbić sobie łask u nieba, gdy chwilę tę przyspieszały plądrowaniem domów prywatnych i napadami osób. W r. 1614. w czerwcu, palili uczniowie jezuiccy i nachodzili zbory luterski (na Łysej Górze) i czeskich braci, mszcząc krzywdy toruńskiej, gdy w dni krzyżowe zabroniono katolikom procesyi. Zatarg poznański wywołał obfitą powódź broszur polskich i łacińskich, jezuickich i protestanckich. Przygrywkę do nich niemal dał p. Ramułt Aleksander w „Kolendzie albo lekarstwie“ z r. 1613, paszkwilu niesłychanej szorstkości na „Receptę“ (Lekarstwa duszne?) ks. Samuela Dąbrowskiego, augspurskiej konfesyi kaznodzieję w Poznaniu. „Samusia“ napada Ramułt okropnie, nazywa go tylko „lelkiem, drwalem, kulfanem, kujanem“, śmieje się z jego doktorstwa (będzie chyba „haptekarzem“ u Lutra), z jego szlachectwa (tworzy mu herby, pałkę Kainową, jaką dusze bije, nazywać się tobie Powrozowskim lub Dębowskim, powieszonym na dębie, gdzie ci krucy twój plesz rozdziobią, lepiej niż wróble na twojej łysej górze, a ty, jak drwal, dąb ale nogami obrabiać będziesz), z jego urodzenia, nieprawowitego, gdyż jego ojciec Piotr to mnich zbiegły; grozi mu szubienicą (drahulcem) itd., wyśmiewa naturalnie jego Ix, zarzuca mu wszystko możliwe, nawet „w tym klimkiem rzucił (ulubiony to zwrot ówczesny, o fałszerstwie, z polemiki teologicznej, o „fałszywe“ listy Klimka t. j. papieża Klemensa! wzięty) iż napisał (na tytule swej książki) „w Poznaniu“, a on przed Poznaniem na Łysej Górze, gdzie się czarownice zlatają (tak ich kilka wyznało) ludzie oszukiwa“. Nie daruje nawet żonie Samusia, „maczudze“, przy którem niewieścisku jak pies przy ścierwie leży! Cóż dziwnego, że po takich poczęstunkach literackich następowały uliczne. Porzucił wprawdzie ks. Dąbrowski Poznań, ale i w Wilnie srożono się nad nim nie zgorzej, wystarczy przeczytać tytuł „Tajemnej Rady“ z r. 1624, przytoczony w całej okazałości u Estreichera XV., str. 28, gdzie obok Ixa Schwana (tak zwano Dąbrowskiego), supersuspendenta konfuzji schachskiej (konfesyi saskiej, szaszek błazen) figuruje Movius „pastuch parszywej trzody kowieńskiej“ i „unifersitas królefiecka“, z błędami „luderskich świnistrów“. — Niemcy przybysze stanowili już i w Poznaniu, tem bardziej w Wilnie, walną część „konfuzji saskiej“, już Ramułt mówi o nich „tu (w Poznaniu) szynkami (gośćmi) będąc itd., więc i z ich polszczyzny się natrącają.

Nie myślimy przytaczać wszystkich pisemek, z powodu Nowin Toruńskich i Poznańskich od r. 1614—1616 wymienianych, w których znowu Jezuici rej wodzili. Obok Łaszcza i Rościszewskiego staje na placu teraz trzeci Jezuita, Sawicki Gacpar, Wileńczyk, uczestnik nieszczęsnych godów moskiewskich, trzyletni więzień, piórem protestantów siekący. Że umiał on i przyzwoicie pisać, najlepszym dowodem była jego „Rozmowa flisa z kursorem“, z powodu Gdańszczan i ich zamachu na zakonnice — tu, gdy z potężnym „admirałem polskim“ zadzierał, wysławiał się tak ostrożnie i skromnie, ciągle tylko do mądrości i przezorności panów rajców appelował, że aż miło czytać było; z czem się Linowski liczyć musiał — pod tem nazwiskiem wydał on „Rozmowę“ — nie istniało jednak dla niego jako dla „Jana z Prus Gołubskiego“, gdy Nowiny, Replikę i Tryplikę pisał. Obronę i argumentacyę uczoną zostawił łacinie kolegi zakonnego, Tyszkiewicza; sam wziął się do drwin polskich. Wystarczy wymienić tytuł ostatniego z tych pisemek, aby ton, w jakim utrzymane, poznać: „Tryplika na duplikę X. Tenebriona (niby Lelka) Niedoperza ministra zborowej drużyny w Toruniu, który... katoliki szczypie itd.“ (1615). Ochrzcił on tak swego bezimiennego przeciwnika, który „troje niewidy i potwarzy“ na Katolików naplótł; musi znowu jemu „wybić filc abo kożuch pruski“, by się w niem mole albo sierszenie nie zalęgły i będzie on mi wdzięczny „że go z takowej gadziny ochędożę“. Pisze teraz ostrzej, bo jak nasi Polacy mawiają „kiedy na niedźwiedzia żołądź pada, to mruczy, kiedy cała gałąź spadnie, to idzie milcząc, a jako klechowie po wsiach łaciną swoją mawiają! *Glande percussús vociferatur ursús Quando frons cadit, ursus cum silentio ad diabolum vadit.* Imienia swego nie nazwał „może mając jakieś nietrefne przezwiszcze, bo pospolicie między ministrami jako foremnymi chłopy nie trudno bywa o Biesagi, Kolimagi, Kiesychleby, Sroki, Turby itd.“ (ma to z Cichockiego allokwiów, za którego Anatomię pisał; z Cichockiego bierze i przykłady znakomitej łaciny ministrowskiej, godzącej się biesu). Przeciwnik pisze i wiersze (wedle mody ówczesnej): jeśliż on „popadjej swojej nagrobek wystrychnie, dopieroż tam ruszy weny jako martwe cielę ogona“. „O bajże, bajże baju, tyś tego godzien, gdy na kadłubek twój pójdziesz, żebyć się chłopięta złożyły po jakiem zgniłem jaju“, Przechodzi do groźb: „to co miało już dawno gdzieś ladajako zadyszeć abo i w buciech umrzeć (z Terencyusza!), to się jeszcze u nas po Polsce włóczy, ale i tu tacy nie toną“. Naturalnie opowiada o brzydkim zgonie

różnych ministrów, ulubiony to „argument“ ówczesnej polemiki, i dziś jeszcze — patrz co o śmierci Lutra pisują, dziś jak przed 350 laty — nie zwietrzały zupełnie: Wędrogowski na Litwie w godzinę zgonu wlazł w piec i szczekał tam jak pies (inni polemiści inaczej to opowiadają); w Toruniu Krzesichleb język wywiesiwszy, którym tyle bluźnił, nagle upadł a on drugi kandydat takroczny świeży w Toruniu ożarszy się jako bestja oknem na ulicę wypadł, mózg wszystek wylał. To był najgodniejszy komentarz palenia i rabowaniu zborów. I przewiedli Jezuici swoje, zakazał był biskup poznański już r. 1614 odbudowania zboru, w r. 1616 zburzono go na zawsze.

Jak się teraz stosunki układały, widzimy z notatki u Wielewickiego: r. 1627, gdy szlachta okoliczna do Krakowa dla kontraktów gromadniej się zjechała, przybył aryanin Lubieniecki do miasta. Podstrzegali go pilnie żacy akademiccy, nareszcie 19. stycznia na ulicy floryańskiej wyłapali, obili w oczach szlachty, nie śmiącej pomagać ofierze i chcieli go potem w Rudawce utopić, lecz namyśliwszy się, wlekli go przez rynek i tylko na szczęście udało mu się schronić do kamienicy, zostawiwszy wierzchnie ubranie w rękach napastników. Tak samo bywało po r. 1627 i w Lublinie a nie łagodniej poczynał sobie i trybunał sam i sędziowie grodzcy. Gdzież to były te czasy, kiedy Wirzbięta śmiało w samym Krakowie drukował, co chciał; teraz Kraków, Poznań itd. nie miały już żadnych drukarni heretyckich, istniejących chyba po miastach i wsiach pańskich, w Lubczu, Lesznie itd.; i tu dogorywają one a trzymają się jedynie w Prusiech, Gdańsku, Toruniu itd., na razie jeszcze w Wilnie i w Kiejdanach. Teraz, gdy pismo Broscjusza przeciw Jezuitom, Gratysa Plebańskiego, heretyk drukarz w Wielkiejnocy pod Krakowem wydrukował, skazał go starosta grodzki za to na śmierć: szaleństwo takie odwrócili Jezuici sami, mimo to dopuścili, że drukarza u pręgi chłostano, z Krakowa wyświecono i książki spalono. I to był wyrok szalony. — „Gratis“ napisany bardzo dowcipnie i prawdziwie na karę nie zasłużył żadną; zasłużyli akademicy jednak na upokorzenie, siejący albo raczej cierpiący i pobłażający nietolerancyi swych uczniów, że i przeciw nim ta nietolerancya się obróciła. Ale najgorliwszy katolik i największy konfident jezuicki, drukarz Franciszek Cezary, sarkał sam na takie niesprawiedliwe ukaranie drukarza. I cóż? oto w domu akademickim napadł go za rozkazem samego starosty wicerejent Rożanka z dwudziestu piechoty zamkowej i strasznie go kazał obić, wołając przytem, nie szkaluj panów!!

Tak uporano się z krytyką — w mieście mówiono, że Cezarego zabito, co jednak prawdą nie było. Gdzie więc można było, mszczono się strasznie; — nie dziw, że protestanci, gdzie mogli np. w Toruniu, nie mówiąc o Królewcu, właśnie 1613 r. najostrzejsze paszkwile antykatolickie, np. Hunnjusza traktacik o rzymskim Kościele i jego głowie Antychryście, na polskie przekładali, o papieżu tylko jako o antychryście, o Rzymie tylko jako o nierządnicy, mersze Babilońskiej prawili. Tak zaogniała się nienawiść wyznaniowa.

A. Brückner.

(Dokończenie nastąpi).

Sprostowanie. W pierwszej części niniejszej pracy, zamieszczonej w zeszycie poprzednim (maj), zaszedł błąd drukarski, który jakkolwiek zbyt jest wyraźny, dla porządku prostujemy. Oto na str. 413, wiersz 19 od góry, zamiast: „w czwartym dziesiątku XVII. w.“ wydrukowano: „w czterdziestym dziesiątku“.

Nienawiść wyznaniowa za Zygmunta III.

Szkic obyczajowy i literacki.

(Dokończenie).

Nie bez przyczyny oskarżali protestanci Jezuitów, jako winowajców tych wszelkich napadów na zbory i osoby. Mnożyłyż się te napady, aż stary arjanin Lubieniecki, odmianę szczęścia polskiego *(Poloneutichiię)* od owej nietolerancyi wywodził, tęskniąc za dawnymi błogimi czasami; nawet Sowizdrzali mieszczańscy, szydzący dowoli z „jaratyków“, wyznawali, w ciekawym nadzwyczaj pisemku „Nędza z Biedą z Polski idą“ [1]), że nastały nędza z biedą w Polsce, gdy poczęto na wiarę nawracać „heretyków i wiary po kadłubach (t. j. zborach) macać... Lutra w Polszcze nie pytaj“ tak ich wyszperali i gorzej się u nas dzieje niż u Turków!

Co o tem protestanci sami sądzili, na to wystarczy choćby jedno, acz późniejsze świadectwo: pisemko (dwućwiartkowe) p. t. Szlachcic do Szlachcica o Woynie kozackiey w r. 1648 i 1649, gdzie jako jej przyczyny podaje nie tylko ucisk srogi ludu

---

[1]) Znakomitej tej broszurki, jednego z najlepszych utworów polskich Sowizdrzałów podgórskich, godnego ze wszech miar przedruku, znam dwa wydania, oba w trzech arkuszykach quarto; egzemplarz wcześniejszego jest w bibliotece cesarskiej petersburskiej, późniejszego, lichszego, w bibliotece miejskiej wrocławskiej.

a choćby i obrządku. („Rusin nieraz dla wiary srodze zajątrzony“), ale najbardziej:

Przystąpiła na Lutry tyrannis przeklęta
Która się pod płaszczykiem zeli (gorliwości) zda być święta

i napomina, nie udręczajcie sumień, dosyć was długo księża za nosy wodzili, zachowajcie czyste sumienie wobec strasznych walk, wichrzących Europą. Lecz był to głos wołającego na puszczy; zniszczenia dawnego znaczenia i przewagi protestanckiej nic już nie powstrzymało.

Za przewodników i podżegaczy w tej walce, za autorów wszelkich pisemek, kto je tam wydawał, za winowników każdego zaburzenia uchodzili Jezuici, tak n. p. w oczach autora (protestanta) responsu p. t. „Zbór wileński ewangielicki przez rzymskie katoliki burzony, mordowany, palony w r. teraźniejszym 1611, Julii 2. przez godzin osiemnaście“, wydanego przeciw skryptowi katolickiemu: „gdy się była furja rzymskich katolików rozjeżyła, będącemu Królu JM. pod Pskowem, rzucili się“ itd. opowiadał autor — ale gdzież to te czasy święte, kiedy Batory z pod tego Pskowa Wilnian o niepokojenie „heretyków“ srogo strofował i wolność sumienia nietylko na papierze warował. Zygmunt o największy eksces taki, popełniony choćby pod bokiem królewskim, ani gry w piłkę nie przerywał, ani do odpowiedzialności kogokolwiek pociągał. Z Poznaniem powtórzyło się toż samo, co z Wilnem. Autor „Nowin z Poznania o gwałtownym zburzeniu zborów“ głównie nowiny jezuickie o rozruchu toruńskim zbijał, wydając toż samo i po niemiecku (*Zweyerley Newe Zeitung* itd., r. 1614): za to w „Obronie prawdy listów z miasta Torunia itd. pisanych“ wyliczał napaści na protestantów w Wilnie, Poznaniu (najście domu p. Przeborowskiego), Krakowie i świeżo w Lublinie, twierdząc wbrew Jezuitom: przecieć tam waszymi wołkami orano; napadając ostro na nich (kręcisz wici, Jezuito, to jeszcze u niego termin najłagodniejszy), na ich faryzeuszostwo, przytem naturalnie wysypał wszystkie zarzuty, jakie literatura antyjezuicka sformułowała, o ich królobójczych zamachach i naukach, o jezuicie Maryanie itd. — słusznie jednak oskarżał Jezuitów, jakoby szlachtę przeciw mieszczanom podbudzali; z ich to powodu po miastach protestantom prawa miejskiego już nie udzielają (wiemy przecież z Wielewickiego, jak się w Krakowie Jezuici dobijali, żeby protestanta do rady miejskiej nie dobierano). Naturalnie,

Jezuici odpowiedzi dłużni nie zostali; Tyszkiewicz aż w dwóch łacińskich dziełkach (*Responsio* itd. r. 1615; *Vindiciae doctrinae Soc. Jes. a calumniis* itd. 1616) i opis zajść toruńskich i poznańskich i obronę zakonu podawał, a inny jezuita Sawicki-Gołubski w znakomitej, dowcipnej, jadowitej Replice, tę chramotę (później mawiano „ramotę“) „ministrzyszczęcia marnego, głupiego, zwietrzałego“ strasznie przenicował, nietylko mu „kazaniczko“ oddał, ale i osobie nie przepuścił, życzył mu galery, wytykał mu, że nieraz na dzień „kompletę w kaplicy Liberi patris“ (Bakcha) odprawia, że ministrowie „szwarcem (czarnem piwem) i tłustymi szperkami brzuch obciążywszy, częste stacje pod wiechą“ miewają. Odpowiedział na to Torunianin „Duplıką na replikę Nowin prawdziwych z Poznania“ i t. d. (w egzemplarzu wrocławskim, z którego korzystaliśmy, tylko pierwszy jej arkusz ocalał), ale mijał paragrafy, nadziane samemi uszczypkami, chociaż i tak wspomniał o świętych katolickich: Polacy pierwszy dzień zapustu nazywali i nazywają św. Żarłoka, wtóry św. Połoka (pijaka, nieraz umyślnie o pijanym Polaku używane), trzeci św. Stękawy, czwarty św. Popielcu (oburzył się na to Sawicki-Gołubski w Tryplice: wierzę, że na ten czas pod hełmem będąc — t. j. opiwszy się, podchmieliwszy sobie, jeszcze w XIX. wieku znano to wyrażenie, którego i Opaliński i Twardowski używają — pisał). Pytał protestant Jezuitów, kto to w Brunsberku miejskiego syna, Jerzego Wolarta w głowę uderzył, że więcej nie wstał, kto innego miejskiego synka, Jerzego Krebsa, zabił: na to niewygodne pytanie ofuknął się Sawicki, ale przyznał w końcu, że „dwuch do Abrama posłali“ (!!) i tylko usprawiedliwił się, że młodzież trudno w karności utrzymywać i że jezuici przecież „z tesakami“ nie chodzą, jak ministrowie „sroższy i z pojrzenia samego niż kaci“.

Głosy rozsądku i miłości chrześcijańskiej głuchły w tym szale namiętności, podniecanym i przez ministrów protestanckich, np. takiego Zygrowiusza a choćby Kraińskiego, w przedmowach i objaśnieniach katechizmu i pieśni (1624 r.) śmiejącego się na despekt katolikom z owych krów, które w Botorze u Kraśnika świętość ołtarza zjadły, i zarzucającego katolickim teologom, że to oni „wylęgli Arjany nowe“ itd. Wyjątkowo tylko znajdziemy — i to nie w polemice z protestantami — odezwę uczciwą, np. Franciszkanin Marek Korona w „Rozmowie teologa katolickiego z rabinem żydowskim przy Arjaninie, nieprawym chrześcjaninie“ (1645 r.) wyznał czytelnikowi: daleko więcej boleję, gdy żydów *non racionibus*, ale argumentami kozubalnej szkoły *insequun-*

tur... zaczym nie godzi się żydów szarpać i takowymi argumentami okładać itd. Tylko w polemice ze schizmatykami zachowywali Jezuici ton przyzwoity, chociaż sami prawosławni, np. Pimen-Mohiła, w napadach na Sakowicza wszelką miarę przebierali: przeciw prawosławnym nie godził się pierwszy ów argument, którym protestantów zawsze można było „porobić“ — skąd i od kogo oni swą wiarę mają, gdyż właśnie schizmatycy ciągle się na starych ojców Kościoła i pierwszych siedm soborów powszechnych odwoływali — tak statecznie, żeśmy nawet od nich ruską, niepolską nazwę soboru (zamiast zboru) zatrzymali — nie „nowotną“ byłaż ich wiara, nie od Husa, Lutra, Kalwina dopiero się wszczęła, tradycye (zdradycjami u protestantów mianowane) święcie uznawała, protestantami „lutorami“ się brzydziła, chociaż ich pomocy w walce z katolicyzmem gorliwie zażywała.

IV.

Nawet w wymienionych dotąd pismach nie upatrujemy głównych świadectw owej coraz rosnącej nienawiści wyznaniowej, kiełkującej, gdy Zygmunt III. na tron wstępował, rozpanoszonej, gdy po najdłuższych niestety latach do grobu schodził. Pisma owe odnosiły się bowiem do poszczególnych zdarzeń; z niemi samemi ginęły w niepamięci — nikt ich nie przedrukowywał nigdy, chociaż spółcześnie je i w obcych językach wydawano. Rozmaite te nowiny, poznańskie czy wileńskie, przebrzmiewały bez właściwego echa.

Obok takich ptaków przelotnych były jednak i inne pisma, trwałe pomniki owej waśni, ohydzające protestantów, już nie ich naukę, ale same osoby, głównie przeciw ich „ministrom“ jadem nienawiści i pogardy ziejące. W pismach takich rywalizowali mieszczanie, ograniczeni, fanatyczni prześladowcy różnowierców, z Jezuitami; ci jednak prym odzierżeli. I do tych pisemek nieraz zdarzenie jakieś np. śmierć jednego ministra, wprowadzenie nowego, impuls dawało, lecz wznosiły się one po nad takie szczegóły, godziły w każdego i wszystkich; sam fakt częstszego ich przedruku dowodzi ich wziętości i znaczenia. Nie myślimy wyliczać czy opisywać ich kompletu — nie jednego doszukiwaliśmy się napróżno; opiszemy jednak kilka nieco obszerniej, aby dać pojęcie nietylko o zajadłości tej polemiki, ale też o humorze czy

ironii, o werwie i cietości — obok wszelkiej, arcynieestetycznej rubaszności tych, mimo wszelkie zarzuty, nieocenionych zabytków staropolszczyzny, świetnych językiem, dziwnych wybrykami stylu i dowcipu, niezbędnych dla oceny czasów i ludzi. Te właśnie pisemka, bardzo niepokaźne co do formy i objętości, rozchodziły się najbardziej, w każdym kramie można ich było dostać. zaplątywały się nie tylko między żaki, panienki, pytające u kramarza, co ma też nowego, ale nawet między baby na trecie: zaczytano je doszczętnie, egzemplarzy licznych nieraz wydań ocalało ledwie kilka. Opiszemy je w porządku chronologicznym, zakończymy najciekawszą, z roku 1640.

Na początku roku 1610 umarł Andrzej Wolan, głowa kalwinów litewskich, uznany powszechnie nestor i patron, nawet papież dysydencki, słynny wymową, nauką, cietością, skoligowany z zacnemi familiami w Koronie i Litwie, poważny sędziwym wiekiem i służbą krajową. Ze śmierci jego skorzystał, nie wiem kto, może Jezuita który i wydał roku 1611 „Synod ministrów heretyckich, na którym radzą o zgodzie z Katolikami i o Patronie“ (cztery arkuszyki; egzemplarz u Czartoryskich; drugie wydanie, roku 1616, egzemplarz w Gdańsku). Zasmuceni i stroskani ministrowie radzą nad obiorem patrona, podają różnych, Kuflowskiego (swego przyjaciela), Chlebowskiego, co każdego przemoże, Gachowskiego itd.; nawet papieża, inaczej źle z nami będzie — urządźmy wszystko jak w katolickim Kościele, nakupmy obrazów i posągów — inni protestują, mamy dosyć obrazów w domu, które całować musimy; jeszcze inni radzą przekupić studentów, niech nam nie „bantują“ (plądrują) zborów. Między te narady wplatają ministrowie przygody swe i zborowe; widzimy więc, że to wszystko ludzie od warsztatu i pługa, nie od nauki; taki szewc, teraz predykant Maciej chlubi się, co pierwej posiadał: klepaczow pięć toczonych, dwa pocięglów nowych... ćwieków pełna gratnica, również kowal Jurek: ująwszy się forszlaka tom ja prał w kowadło — a teraz co? strachy i niewygody. Opowiada przecież Stanisław o napadzie krakowskim na zbór: wylicza co poutracał, ale te sprzęty jego strasznie ubożuchne, garki łagowskie itp.; ledwom życie salwował, z strachu wiele naszych na ciekączkę cierpi, ze mnie omal nie wylazły „trzoba“, nasułem (nasypałem) był miasto kul w amelija (ładownicę) grochu — widać Bóg o nas zapomniał, porna (porwana) djabłu ta wiara, lepszyć żywot łyczany niż jedwabne mary. Z trudem pociesza go Krzysztof, przyczynią mu „dziesięciu i wzoru“ (pola). Inni jednak wolą to nowe,

niż dawniejsze rzemiosło, np. Jakób Beuthner (znana osobistość), kuśnierz były, „wżdy wolę predykować niźli skrobać futra“, również Jacieński, co rzucił gospodarkę podgórską „około Nowotańca“; albo mnich Filip, co srebro klasztorne zastawił, zamknięty za to „*nu ja figas* do Węgier“.

Nic nie uradzono; następuje więc kazanie synodowe, ale kaznodzieja wymawia się, że biblię, choć była bez początku i końca, przepił i każe zaraz z katechizmu śpiewać pieśń:

Rano wstawszy więc do chleba
I pacierza nie potrzeba...
W piątek gomółka na pośnik (obiad),
W niedzielę z sobą miłośnik itd.

a potem śniadanie sobie zarobić t. j. wyjść w pole i kraść chłopom husy i barany. Złodziejów prześladują chłopi, ci w okropnym strachu intonują psalm:

Panie! jak ich wiele jest, którzy się zebrali
A z uporu, ze złości, przeciw nam powstali.
Wiele ich, którzy mówią nędznej duszy mojej,
Hej! niemać ten ładunku w amelijej swojej.
Napadły twoich wiernych niemałe tesknice.
Bo mają harkabuzy, kije i kłonice.

Nareszcie uciekli szczęśliwie, zamknęli się i śpiewają:

Nie strach mię nic tysiąca ludu złośliwego,
Nie dobędą podwoja tak barzo mocnego itd.

gotują śniadanie i śpiewają przed ucztą:

Błogosław nam nasz Panie! nasze zdobywanie;
Ci co nas przeklinają, obróć swój gniew na nie.
Błogosław nam te dary, któreśmy zdobyli,
Z wielką pracą, staraniem, gdy nas nie pobili.
Błogosławcież już Pana, błogosławcie ludzie,
Bo widzicie, jak z kuchnie nam pożytek idzie,
Jedne rzeczy z rosołem a drugie z korzeniem itd.

Teraz dopiero zdobywają się na kazanie i przemowę:

Westchnicie sercem wszyscy, przy takim obiedzie,
My mamy w piątek mięso, papieżnicy śledzie

— na co posty, o których w piśmie św. wzmianki niemasz, na co modlitwy kościelne („popróżnicy portki drzeć a łatać karwasze“),

na co spowiedź (przyczem jeszcze księdza obkradną, znana z facecyj anegdota o tem), na co popiół w popielec (kiedy opity i w błocie wytarzać się może), na co wstrzemięźliwość (cudza żonka smaczna, jak ryba z cudzej sadzawki) — następują nauki życiowe: powie ci co ktoś, porwi go zaraz za łeb, wyjedź mu wałacha; nie daj sobie w nos dmuchać, w gębę go zaraz dmuchni; łaje ci pijanemu żona, potłucz ją i graty — czyżby lepiej, żeby piwo skwaśniało; na ulicy: zamsy, wiechy obcinaj, powywracaj beczki. Podobne nauki panienkom, jak mają oczkami z poza książki do nabożeństwa mrugać itd.; poleca ich względom żaczków, szynkarkom siebie samych: kręci się około ciebie karczma, leż spokojnie pod stołem. Kazanie ukończone, nuż każdy z swoją do tańca, lekko, jak szkapy z rydwanem. Przedtem jeszcze śpiewają pobożne pieśni:

Krzyczym k Tobie, wieczny, miły Panie...
Racz wysłuchać Twoje syny,
Któreś Ty polepił z gliny.
Ledwie z Polski już nie zuciekamy...
Nie dopuszczaj nas popalić,

bo któż będzie Cię chwalić, nasza cnota zgasła, objaw nam, czy będziemy zbawieni itd.

Konkluzya synodu odbywa się w wielkim strachu, nic nie uradzili, pieniądze darmo strawili: żony o to „poszaleją na nas się gniewając do zdechu“; każdy z dziesięciu ministrów opowiada, jakby się z ambarasu wywikłać, przystają na radę ostatniego, jakoby ledwie uszli największych niebezpieczeństw, chciano im oczy wyłupić itd. i rozchodzą się z smutnem wyznaniem:

Żon się swoich boimy, wstydamy się panów,
Byłoćby z nas niemało dobrych chrześcijanów,

— rzeczywiście, kobiety i świeccy prześcigali w ferworze protestanckim samych ministrów, nimi stały zbory.

Satyra ta, parodjująca znakomicie psalmy i modlitwy i sam tryb synodów ówczesnych, np. słynnego toruńskiego [1]), innych

[1]) Przeciw niemu wydali Jezuici wileńscy osobną broszurę „Absurda synodu toruńskiego“ itd. r. 1596 (45 stronic), gdzie po zbijaniu jego wywodów i kanonów, po wyliczaniu ich okrucieństw zagranicznych a przewag litewskich, po wyszydzaniu ich skarg, ich ufności

naśladowców nie znalazła, trudnoż było ją przesadzić; zresztą może i nie Jezuita ją napisał, może Sowizdrzał mieszczański; ale jezuicka robota, to „krześciańskie zboru pańskiego konstitutie“ z roku 1614, wydane pod imieniem superintendenta Turnowskiego, na urąganie protestantom, zmuszonym do występowania publicznego przeciw temu fałszerstwu: odpłacali Jezuici takiem pismem, również jak i łacińskiem *„Monita calvinistarum privata et publica“* (niby Kaczorowskiego, istotnie jezuity Rościszewskiego) pamflety przeciw zakonu kute. Ani polskiej ani łacińskiej broszury nigdzie nie napotkałem.

Nie zasypiała jednak fantazya polemiczna, lecz kroczyła po coraz nowych manowcach. Nie przepuściła nawet satyrze żołnierskiej, znakomitemu „Albertusowi z wojny“, gdzie wyprawę łupieską na Podole, z wycieczkami przeciw niecnotom obozowym, opisano. Na jej wzór napisał ktoś („Maciek Pochlebca“ w wydaniu z r. 1617) „Zwrócenie Mathyasza z Podola, którego był minister na Podole wyprawił z armatą barzo zacną“ itd.: po dwuletniej niebytności wraca obdarty Matyasz, bez oka, do ojca ministra: „wolał w luterskim zborze pilnować kiermaszu“, bo fatalnie mu żołnierka posłużyła, to „dobrze ze mnie małogi (strachy, psy co go opadły) nie wydarli dusze“, to „z ślagu napadłem między żaki szkolne“, to „musiał przysiąc na garejską (!) wiarę“ a „co wspomnie Lisowczyki, jeszcze mi niemiło“ — prawda, że całe jego zasługi wojskowe: niewiastę rozkapturać i dzieweczkę zawić, albo „nie ciężko nam bańtować po chałupie wszędzie, najdąli się pieniążki, nasze szczęście będzie“. Próżno nawraca go ojciec na dobrą drogę: wiarę on zna, ale tylko na borg, a miarę tylko u szynkarki; ledwie że go zatrzyma obietnicą rychłego a dobrego wyswatania. Robota to pióra sowizdrzalskiego, mieszczańskiego, i głównie przeciw ciurom i żołdactwu niesfornemu zwrócona, typowa tem, że nawet w tej materyi i z wyznania szydzi, co pierwotnemu Albertusowi i na myśl nie przychodziło.

Najbardziej podobała się forma testamentu Lutrowego, suplik do niego do piekła wnoszonych i tym podobnych dowcipów.

---

w Boga a niezgody między sobą, „Teofil Kosmopolski“ wiersze pisał na nich (ministrów) i na ewanielików, wspominał ich falsa, „bo tak barzo klimki swe ministrzy miłują“, nie wyliczając innych z ich cechu, „jako Equesa (nowy dowód przeciw autorstwu Klonowica) albo Chrząstowskiego albo Grześka z Żarnowca“.

Zgrzeszył tu już Kacper Miaskowski, umieściwszy w rytmach swoich list Marcina Lutra z piekła do swoich, wybryk niegodny poważnego pióra zacnego poety, chociaż przeciw przyzwoitości nie nadto jeszcze występujący. O wiele gorszy, w podobnym guście, testament luterski Zimorowicza, lecz pomijamy rzecz tę sowizdrzalską, gdyż wydał ją w *Przewodniku* Dr. K. Heck 1890 roku. Równej wartości rzecz niezdarnego wierszoklety-szlachcica, Jana Zrzenczyckiego, gwałcącego poezyę na rozmaite gazety o wojnie czeskiej itp. i przerabiającego z niemieckiego (tak zapewnia tytuł) „Anatomię Martynusa Lutra przez Dezyderyusza Erazma z Czerwonej Groblej Roterodama odprawianą roku 1546“ — druk ten cytują u nas jakby z XVI. wieku pochodził, ale to wierszydła około roku 1620 pisane, dodają bowiem ów list „Malchra (!) Miaskowskiego słodkiego poety“. Że Erazm dziesięcią lat śmierć Lutrową wyprzedził, fikcyi nie szkodzi. Erazm dzieli trupa między sekty świata, dostaje się coś i doktorowi Tandem, sekciarzowi średniowiecznemu, rozpustę przepowiadającemu; wykisiel Arjanom, z których jeden czterdzieści dni pościł i ducha św. w ogonie pawim obejrzał. Flaki „piekielszczyka“ (nie nieboszczyka) Lutra“ dostają się ministrom polskim, którzy wtedy w Okszej sejmowali:

Był ix Piotr Gębołowia, Grzegorz z Secemina
Więc Włóczykij Walanty, z Bandurą z Tarczyna.
Nuż pan Matys Zaskowski, Płatek Duszotrajca,
Przy nich siedział Mięsurad Szymon boży zdrajca,
Sebestjan Liżypęp, Kartograj z Lipnice,
To psie mięso z Chomranic, to psu post z Kremnice,
Łapigros Mazowita na imię Brykcius,
Wydmigęba z Rzeszowa i Piotr Fernelius,
Szkapołupca z Ciężkowic, Niedojadł z Mrzygłoda,
Siekierka z Stawiszyna, Płóczyflak z Żmigroda,
Więc Wiercibies z Osieka, Kręcigłowa z Żarek,
Koliweszka ze Czchowa i Łupikot Marek,
Laurencius Cichowlazł, Franciszek Fudalej,
Chybidziura pan Jędrzej, Urban Głowoszalej,
De Poręba Drapichróst, Matus Cięgniskóra,
Erasmus Głodzigiża, Petrus Paligóra...
A sam Rey pan tej Okszej, postylę im pisał,
Nie z swej głowy, ale co od czarta usłyszał.

Wyliczeni jeszcze Symon Proszowita, co Radziwiłłów, Krowicki, co Oleśnickich, Sarnicki, co Stadnickich uwiódł. Satyra ta, drwiąca z każdej chronologii, wplatająca i Elżbietę angielską, co

Gwaltera Raiolea za Czurydła [1]) miała, ciekawa zestawieniem nazwisk ministrowskich, zdradzających ich pochodzenie od warsztatu i roli, z czego katoliccy pisarze niemiłosiernie szydzili, np. Cichocki w Alloquia Osecensia a przed nim i inni, z owych Biesag, Kolimag, Krzesichlebów, Tobołek, Siekierek itd. Nazwy wzięte od rzemiosł, np. łupikot, cięgniskóra, płóczyflak, koliweszka (tak zwano tych, co stare odzienie łatali lub nicowali), szkapołupca, inne przezwiska rubaszne, chłopskie i miejskie, np. głodzigiża (co gnaty obgryza, Gliczner), wydmigęba, wiercibies itd.; Bandura albo Badura (forma dawniejsza, poprawniejsza) znany i jako kandydat ośmieszony na króla polskiego (pisał o nim Bartoszewicz); nazwy miejscowości wszystkie trafne, znane z ministrów, jak Chomranice i inne. Zaciekłości antiprotestanckiej folgował Zrzenczycki i w broszurach wierszowanych z roku 1619, gdzie opisywał zajścia praskie, zaciągi obustronne itd., z najzjadliwszemi wycieczkami przeciw Czechom — ostojedźcom, i suchej nitki dla ich kacerstwa na nich nie zostawiając, opowiadając najdziwaczniejsze anegdoty, o Przemyśle, któremu dyabli cztery dni miasto oblegali (tej „historyi“ Czesi nie znają nawet), o piciu ich (dykterya z muchą w napoju), o opilstwie (od dziecka) itd.; „naród to Moskwie we wszystkim podobny“ (a więc na dwieście pięćdziesiąt lat przed kongresem panslawistycznym moskiewskim); „co Czech to kat (rzeczywiście byli liczni rzemiosła tego w Polsce, wiemy z innych źródeł o tem), to szafarz, to minister“. Broszury te odpisywał i drukował kasztelan smoleński, Kazimierz Niesiołowski, najniezdarniejszy z niezdarnych wierszokletów czasów saskich, w swoich „Otia publica“ i „Quadragezymalnych Contemplacjach“, 1741 i częściej, napadając sam najostrzej na „brzydkie dyssydenty“, tusząc, że zburzy rychło Bóg i ostatnie ich zborzysko, skarżąc się:

Było dosyć i w naszych państwach głupich dudków,
Co miasto krzyżów stawią na kirchach [2]) kogutków...
Nowików, co się zepsili z mnichów i złych kanoników...
Lecz minąwszy kupieckie i zamorskie wiary itd.

---

[1]) Czurydło znaczy tyle co gach, gamrat — poszło to od „Czuriła (Kiryła) Plenkowicza“, bohatera bylin niegdyś kijowskich, dziś wielkorossyjskich, zawracającego mężatkom i dziewicom głowę, ukaranego w końcu śmiercią przez męża, co cudzołożnika przydybał.

[2]) Stąd wzięli Rossyanie swoją kirkę, nie wprost z niemieckiego, podobnie tiurmę itd. nie wprost z niemieckiego Thurm.

Już to Lisowczycy dali się protestantom we znaki, więc radość z powodu tego u pamfleciarzy, pomijamy Pieśni o cnych Lisowskich kozakach abo pogrom Czechów i kalwinistów przez Lisowczyki roku 1620, ponieważ to rzecz niby historyczna; lecz wymienić należy z tego samego roku List o Lisowczykach (przedrukowany i 1636 roku pod tytułem List o kozakach polskich) do Domin. Martin Luter od śląskich i czeskich Efangelikow przez X. Nikiel Habspert minister ferbi dei zboru wrocławskiego z niemieckiego (tak zawsze u ludu!) na polskiego przełożony, łamaną polszczyzną i dziwaczną — w uszach polskich — wymową łacińską, wyszydzaną nieraz (np. w drugiem wydaniu Flisa Klonowicowego). Przedmowę „Xiędzofi Kasper Mydlarzofi Lubelskiemu“ i list do niego, jako do nauczyciela miłego swego (mój parzo ukakany itd.) pisze Nikiel, donosząc o strasznym uczynku Lisowczyków, co ministrowi prochu w pludry nasypali i go w powietrze wysadzili; wetknięto mu przed tem ów list do Lutra, opisujący „jako cerpem chrześcijanofie od sk....syn lisowczykowie“, jak oni wszystko wyszperają i plądrują, a „czury“ (ciurowie) ich gorszy od samego dyabła; nasze żony wolą ich niż nas; więc zmiłuj się nad wiernym narodem twoim, pluder twoich z Witembergu zażyjemy miasto chorągwi.

Dowcipniejsza i uszczypliwsza jeszcze rzecz jezuity wileńskiego Chądzyńskiego, mazura rodem, p. t. Relacya a oraz Suplika zboru wileńskiego saskiego do Hern Martin Lutra za predykantem Burchardym, ministrem swoim, który 1623 roku 14. października ...po kury laząc z drabiny spadł i szyję szczęśliwie złamać raczył ...na piersi jemu w trunnie położona w... Wilnie“ (1623, 22 stronic — przedrukował to, ale nieco „skromniej“, ksiądz dziekan Kuligowski w Demokrycie śmiesznym r. 1699). Chądzyński nie ceremonjował się z „sługą w winnicy na Niemieckiej ulicy“, co z drabi spadł łażąc po kokosz jarzębatą dla gości protestantów — na jego miejsce dostaliśmy świeżo z Poznania wyświeconego Schwana Dąbrowskiego, o którego niefortunnych walkach z Ramułtem już wspominaliśmy; Chądzyński napada i tu na Dąbrowskiego o te same rzeczy, które już Tajemna Rada (czy nie jego pióra) r. 1623 wykazała, jak on katolikom świętych kradnie, Wojciecha i Stanisława do luterskiej sekty wciągając, jak dyabłów przy chrzcie wyklina itd.; śmieje się też z jego Raju Dusznego (modlitewnika), gdyż mogłoby się i w Wilnie powtórzyć, co w raju się działo (zwodzenie i wyświecenie, jak z Poznania — rychła śmierć Dąbrowskiego uprzedziła speł-

nienie wróżby). O tem wszystkiem donosi owa Suplika Lutrowi, kończąc słowami:

Zaczym od nas Katrynkę swą obłap, prosimy,
My też po jednej za twą duszę wypełnimy.

Odpowiedź Lutrową przynosi kominem duch święty (dyabeł) a odczytuje ją Dąbrowski na kazaniu: trzecia część dyabłów już po niemiecku rozprawia, pijemy tu i gramy, a czasem i do bitki przychodzi, tak gdy Lucyper niedawno na przyjęcie Burcharda biesiadę wyprawił, żarliśmy się z Kalwinem, on mi wyrzucał, żem trzeci dzień po ślubie już syna miał itd. a tak mnie w rękę ukąsił, że odpowiedź muszę kanclerzowi memu, Melanchtonowi, dyktować. Burchard kuchtą został i smaży dyabłom saskie i kalwińskie dusze, żydowskie i tatarskie, bo śmierdzą, dla Cerbera inni smażą. Burchard, choć mowę stracił, tu „złożył jakąś dumę na Mihalską nutę" (jak serbscy śpiewacy) o swoim trafunku. Dambrowski niech naszym miłym sąsiadom, dyabłom, pokój da; niech świętych nie zabiera, trzymajcież się owych 99 łokci moich pluder; niech cechu ojcowskiego (dratwy) nie rzuca — zrodziła go matka, gdy się z psem o zdechłą świnię wadziła i wnet jej sprandykował (spraktykował, wywróżył) ktoś, że syn jej będzie świnistrem. Podjudza wreszcie kupców-sasów przeciw szlachcie-kalwinom, by ich i z Wilna, jak z Gdańska, nie rugowali; Kalwin zresztą bardzo smętny dla wypadków czeskich; kończy wezwaniem i hurysz (hurra!) za mną do dyabła,

Piśmidło Chądzyńskiego znalazło naśladowców; prostactwem przesadził jeszcze autor „Roku Trybunalskiego", „M. P. na ten czas student lubelski" (a więc z kolegium jezuickiego), wydając go w Krakowie 1625 roku (cztery arkuszyki 4⁰). Ansę do tej broszury dał wyrok trybunalski, świadczący, jak nietolerancya nawet w gronie sędziowskiem wybujała, zabraniający w Lublinie raz na zawsze zjazdów akatolickich, budowania szkół i zborów. Wspomina i dr. Sobieski o krokach sądowych trybunału lubelskiego, ale dopiero pod rokiem 1627; tymczasem już roku 1623, w wigilię św. Piotra i Pawła, pozwał trybunał przez instygatora swego ministrów o schadzki, zabraniając ich na przyszłość jak i budowania zborów i szkół, co trybunał następny (roku 1624) potwierdził; następny palił przez kata nietylko książkę Bolestraszyckiego ale i książkę aryana Śleszyńskiego. Otóż charakterystyczne dla stosunków polskich, że protestanci, chociaż ich garstka

tak mała, o zakazy mało dbali — bo kto w Polsce praw słuchał? Najlepszym tego dowodem pisemko pod tytułem „Głos anonima ewangelika do króla i stanów na sejm r. 1631“ o wydanie mandatu z kancelaryi koronnej itd. i o despektowanie ewangelików, idących z nabożeństwa, podczas trybunału roku 1630 — więc odprawiali ewangelicy pod bokiem trybunału swe schadzki; autor wskazuje, dokąd prześladowanie ewangelików doprowadza, co za skutek miało, gdy w Kostnicy spalono „dwoch błahuszkow“ i przypomina napróżno, przysięgi i konstytucye. Lecz wracamy po tem zboczeniu do broszury jezuickiej.

Otóż zbiera się „synod krasnołgawy“, z samych rzemieślników złożony; ministraszowie i ministrzęta, ci luterscy bikanci, pozwani przed trybunał, ale wypraszają ich żony, „smutnoradosny lament“ swym mężom wyprawiając, każda wedle swej roli — nazwy (podobnie w Tajemnej Radzie), te „luterskie badawije“ (rumaki), więcej nieustraszone, niż owi „świstelnicy“. Rozmawia autor i z superintendentem lubelskim, ks. Niewierskim, przestraszonym srodze: „ix pix bombix Niewierski nam waledykuje“ i chce do Włodawy uciekać — „cerwona tam psu sława“, tu o życie chodzi. Zresztą te same „dowcipy“ z pludrami luterskiemi i z „prandykowaniem“, tylko jeszcze niesmaczniejsze.

Najciekawszy z tych pamfletów ostatni: dzieło Jezuity wileńskiego, znakomitego znawcy białoruskiego języka, dowcipnego, silącego się nie na gburskie połajanki tylko, jak ów M. P. lub Chądzyński. Jest to „Witanie na pierwszy wjazd z Królewca do kadłubka (zboru) saskiego wileńskiego ixa Her N. Lutermachra“ (tu herb jego: szczeciny z gnipiem krzywym, pole *album graecum)*, drukowane „w Witenbergu (!) 1642 r. dnia wczorajszego“. Do czytelnika auspurskiego (wyznania) pisze *„Bilger Reinhercigius“*, rozżalony, że zborzyszcze bez błaznodziei widział: nowego ministra, jako mądrego bardzo, wita heksametrami aż z sześciu języków zmieszanymi. Dokonał on rzeczywiście tej sztuki, układając wiersze z słów greckich, łacińskich, niemieckich, polskich, litewskich i ruskich, które tak brzmią:

Kaip (jak) ad nos il tes (?) Henker licha duszka minister.
Ar tamui bolsz allon [1]) ewona (?) litewska gut est?
Od Galgen pryszoł, lecz entade sidera weizdi [2]).

[1]) Czy jemu więcej nad inne.
[2]) Tutaj na gwiazdy patrzy.

Su dich przyniosłeś hreckoje gamma tibi.
Du kanst greckie logos, kadu tua burna hłaholi [1])
Os nori [2]) francie Sasów ducere fluks na hłahoły?

„Na predygu niedzielnym“ „z garbarza wielki świnister“ zacytował był greckie teksty, otóż saskie niewiasty, których Luter dotąd „gryką“ nie trapił, dziękują mu, że będą teraz „gryczaki“ jeść musiały; śpiewają mu (na nutę „po straconej o Polskich synach“) pieśń:

Pierwsze g r y c z a n e kazanie
Powątliło dżdżu wylanie,
Dając znać, że się uszarga,
Co tak dzielnie greką marga,
Ba i Nalewajcy sami [3])
Będą nas zwać złodziejami,
Że greczyznę odejmujem,
Nią się darmo popisujem.
Dość nam Dreck, Speck, Schmeh, Sprach jeden!

Rzeczywiście też następuje po tej pieśni list wierszowany, w najpyszniejszej białoruszczyźnie pisany, jakiej wtedy i Rusini sami nie potrafiliby lepiej wyrazić a Jezuici po swoich „intermediach“ komicznych nieraz się nią popisywali: białoruski ten wiersz z wierszami (i prozą) intermediów stoi na równi z małoruskimi intermediami studenta-lwowianina Gawałowica (roku 1619). Otóż „Sieńko Nalewajko pouczycielowi saskiemu pouczenje o hreczysie pryjatelskoje posyłajet“ (bo do greki-hreczychi prawosławni jedyne sobie prawo rościli), szydząc przytem z greki i gryki, odsyłając do Kijowa i Moskwy:

Użoż heto po lichu Sasy podureli
Koli nam tut hreczychu usieńku otnieli.
Ochcimnie (biada!), po hreczesku brusisz wielmi mnoho,

---

[1]) Kiedy twe usta mówią.

[2]) Czy chcesz Sasów rychło na szubienicę (bo hłahoł — gamma greckie na trzy drewna = drajhulc t. j. szubienicę patrzy) wieść. Wiersze te znakomite, lecz w druku nieco popsute, poprawiłem t a n i s na t a m u i, zamiast i l t e s pierwszego wiersza czytałbym i l k t e s jak do nas t ą ż y (tęskni za nami); e w o n a drugiego wiersza nie rozumiem.

[3]) Nalewajkami (kozakami) przezywano w Wilnie stale prawosławnych, między którymi kozacy rej wodzili.

A sztob tobie daw w hubu, nietucie (niemasz) nikoho.
Prydet na tia Mohiła (kijowski), szto i horsz umiejet,
Koli tolko hreczycha nowaja pospiejet.
W Mohiłu bladin syn, k Moskwie na nauku,
Lichoje hadyniszcze, nemećkij pauku
Skupawsiab'jeś w Nieglennej (w Moskwie), zabywsiab' skohliti
A z saska po hreczesku dumno hłaholiti.

(odrzekłbyś się, związany w Moskwie i Lutra i dyabła samego)

Da i u nas (w Wilnie) tutka jeść i żołud welikij,
Dionizej, Dorochfiej, umiejut laliki (logiki).
A w Kijewi t'ma ludej so wsiemi swiatcami
Upierod hutoryli (gwarzyli) z starymi hrekami.

Odbierasz nam wszystko, ale nie z nami, z Lachami swarz się:

Z Lachami tiaży sia, dietki maleńkije
Bolsz u nich ukiemili (pojęli) niż wsi Lutorskije.
Uczasiew (?) ty poczawszy brazgać po hreczesku
Da koniec pouczenia prydawjeś po czesku;

jeszcze będziesz i po siekiersku mówił, leretyku! nam już i z Lachami trudno „a horsz z unitami. iżtob' cerkwi nie wzieli z dobrymi prawami“. Z nami to, łysy biesie, zaczynasz walkę „a z Lachi za toho (rychło) poznajesz,

I Kisiel Kułażyn syn ach nabrawsia pudu
A ty reczesz pożdawszy (poczekawszy): hdie ja jutro budu.

Wzmianka o Kisielu wtrącona z powodu pisma Kisielowego przeciw prymatowi papieskiemu, wtedy wydanego (pod obcem imieniem) i refutowanego przez Jezuitów, więc i Kisiel nabrał się strachu itd.

Na godne zakończenie tej wieży Babel językowej i wyznaniowej występują jeszcze i żydzi; Leibe szkolnik rozmawia z Lachmanem rabinem o „mamzerze materklasów“, co to po grecku kazania prawi i o naszych talmudzkich tajemnicach wie: o Lewiasanie (!), o czapli sto łokiet, o winie, które sprzedaje Blokiet (?) o wole olbrzymim Szorobor, o Chazbi Chacklu i złej Jeczerhorze, czy umie on i Keser naasmiy (?); chcą koniecznie zrobić z niego żyda:

Gotowe masz na derech nasze te szołhery,
Na kazubales dzięgi i lewki talery —

obrzeżemy go publicznie, byśmy nie musieli jadać z nim jeszcze „juny, śliże i świeszcze, mientusy i raki“. Całe zakończone dziwaczną jakąś niemczyzną: *schlaf grafunds pusz den chundt aus pundt.*

Moglibyśmy rzecz naszą zakończyć perspektywą więcej obiecującą, godniejszą, poważniejszą; wskazać na zmianę stosunków za Władysława IV., wobec której „Witanie“ jakimś anachronizmem, Zygmuntowszczyzną, trąci; moglibyśmy wymienić *Colloquium* toruńskie, w celu pogodzenia (!) zwaśnionych wyznań zwołane a bez celu przeprowadzone, albo poważną polemikę między kasztelanem Gorajskim i starostą Słupeckim o zmianę religii (dwa listy ich z roku 1643, w dwóch rozmaitych — formatem — wydaniach; Estreicher zna tylko jedno), gdzie Gorajski napróżno Słupeckiego przy wierze ojcowskiej zatrzymać się usiłuje — lecz samo panowanie Władysława i jego tolerancya były tylko przemijającym epizodem w tej waśni, walce i nienawiści wyznaniowej, która za Jana Kazimierza, acz nie bez wielkiej winy ewangelików samych, przenoszących wiarę nad ojczyznę, z żywiołową siłą na nowo wybuchła, najpierw aryanów zmiotła a potem i innym wyznaniom zagroziła, które odtąd z życia publicznego na zawsze się wycofały, prześladowane na zewnątrz, rugowane z urzędów i man datów poselskich.

Że do zawaśnienia stron, do rozgoryczenia tej polemiki, do poniżania systematycznego innowierców pisma, o których wspominaliśmy, walnie się przyczyniły, nie podlega wątpliwości; byłyż to pisemka najpopularniejsze, najdrastyczniejsze, rozchodzące się najszerzej, trafiające do warstw najniższych. I autorowie tych pism nie ujdą ciężkiego zarzutu, że przyczyniali się, ile sił, do zaogniania i rozjątrzania przeciwieństw. Mimo to, powtarzamy, szczegółami, formą, językiem należą wszystkie te pisemka do najciekawszych pomników dawnego pisemnictwa; wydać je i uprzystępnić potrzeba, jeżli przeszłości naszej charakterystycznych cech pozbawiać nie chcemy. W tym celu podjęliśmy się tego artykułu — inni, pracujący w korzystniejszych warunkach, uzupełnią go i poprawią w niejednem.

A. Brückner.